



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Laskauera i Babickiego.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Polki w współczesnej literaturze i sztuce.



I.

Marya Konopnicka.

Niedawno minęła dwudziestopięcioletnia rocznica działalności literackiej najgenialniejszej z poetek polskich, Maryi Konopnickiej, i niestety minęła prawie bez zaznaczenia w prassie, a przecież nikt ze współczesnych poetów nie zasłużył sobie na większe uznanie od jubilatki.

Czemże można usprawiedliwić taką dziwną obojętność społeczeństwa, które w takiej niedalekiej przeszłości złożyło u stóp Sienkiewicza tyle darów i wawrzynów?

Mnie się wydaje, że przyczyna tego smutnego faktu tkwi w chorobliwym obalamuceniu serc i umysłów przez bałwochwalczy kult dla nowych—i z bólem serca dodać trzeba—najczęściej zgubnych i niezdrowych prądów, panujących obecnie w naszej literaturze.

I-rzeczywiście, dawno już nie pamiętamy chwili, któraby wydała w tak krótkim czasie tyle nieoczekiwanych wielkości, jak obecna,—tylu, jak się to dziś zwykło mówić—*nadludzi*.

I dlatego to, zamiast kąpać się w ciepłe i blasku słońca, my dzisiaj z zapartym oddechem wpatrujemy się w rozbłysłe nagle komety, które z pędem i hukim szalonym toczą się nad naszymi głowami, podobne do apokaliptycznych smoków ognistych, niszczących

wszystko, co spotkają na swej drodze. A przecież powinniśmy pamiętać, że komety gasną



Marya Konopnicka.

rychło, że tylko gwiazdy świecą zawsze jednakowem, wiecznotrwałem światłem.

A taką wielką gwiazdą literatury poromantycznej jest niezaprzeczenie Konopnicka.

Już w pierwszych chwilach jej działalności poetyckiej talent jej zwrócił na siebie powszechną uwagę; przypomnijmy sobie, że Sienkiewicz w swoich listach z Ameryki z powodu slicznego wiersza, pomieszczonego w pierwszej seryi poezji Konopnickiej, a zaczynającego się od słów: „W koło mię otoczyły moje równie sennie,“—odrazu przepowiedział poetce wielką przyszłość...

I nie omylił się w swej przepowiedni wielki powieściopisarz: Konopnicka w krótkim czasie ujęła w swe dłonie berło poezji polskiej a dzieje jej twórczości, to jeden świetny pochód tryumfu.

Nagradzana na licznych konkursach, uwielbiana przez czytający ogół, niesłychanie płodna i pracowita, przez długi czas królowała w sercach naszych niepodzielnie.

Dopiero w ostatnich latach krzykliwa, a niezasłużona reklama zapragnęła wypchnąć gwałtem na pierwsze miejsce rozmaite sztucznie wydęte wielkości i ustawiła szereg ołtarzy dla jednodniowych bogów, dla których gotowa była zrywać wieńce z posągów czczonych dotychczas, jak świętość i w hysterycznych zachwytach trąbiła fanfary ku ogłuszającemu rozgłosowi nowych mistrzów pieśni, nowych wieszczów i nowej poezji...

Wśród tego hałasu i gwaru krzywdą się działa nie jednemu talentowi, nie jednej prawdziwej zasłudze, nie jednej twórczości, którą zagłuszano i pomijano, odbierając jej czcicieli i hołdowników, bałamucąc oszołomione

tlumy i narzucając im kult dla potworzonych z dnia na dzień bożyszczy...

Po tem krótkim słowie wstępem przejdziemy teraz do pobieżnej oceny poetyckiego dorobku Maryi Konopnickiej.

Oto leżą przedemną cztery duże, wykwiłtynie, lecz bezpretensjonalnie wydane tomy poezji lirycznych,—książki, do których zaglądam z nadogu, ilekroć znużony dokuczliwymi troskami powszedniego życia, zapragnę wykąpać się w krzepiającym zdroju prawdziwego piękna.

Te cztery tomy, to olbrzymia harfa, na której drżą wszystkie struny uczuć ludzkich, zacząwszy od cichej skargi sielskiego pacholęcia—a skończywszy na głębokiej, bolesnej zadumie wpatzonego w tajemnice przedbytu mędrca; to olbrzymia paleta z niezliczoną ilością barw, półcieni, półświatł, to skarbnica nieprzebrana, w której niepospolity duch poetki zawarł niezmierne bogactwo i w królewskiej hojności pozwala z niej braciom swoim czerpać pełnymi garściami.

Rozpatrzmy się w niej uważnie.

Twórczość Konopnickiej rozpoczęła się od prostej, ot zda się na wierzbowej fujarce wygranej piosenki, w której drgają echa rodzinnych pól, łąk i gór.

Poetka śpiewa o tych równiach sennych, które ją otaczają pasmem jednakiem, o tem słońku, co spada tak rychło za góry, chociaż na ziemi tyle jeszcze ciemnych cieni zostało, o tej wiejskiej drodze, po której z pochyloną głową chodzi w dumach i dumkach, potracając stopą o leżący na niej a ciężki, jak łyzy, kamień, o tym rodzinnym domu, co szumem swych lip wtórzy jej snom i łyzy jej koi ciszą—a śpiewa tak szczerze, tak serdecznie, jakby żaden zgoła pierwiastek rozkładu nie przedarł się do jej duszy ze współczesnej kultury, jakby czuła i kochała tak, jak prostacze dziecię tego pola i tej łąki.

Następnie od natury przechodzi do ludzi... Smutna, sieroca dola kmiotka, co drżący od chłodu ros wieczornych na nędzę swoją narzeka; rozpaczny jęk matki, której „pęka z bólu chłopskie serce;“ tęsknota ubogiego parobczaka, któremu z białej chaty nie chcą dać dziewczyny—wszystko to znalazło w jej pieśni oddźwięk niezwykle żywy, niezwykle prawdziwy.

Pokrewnymi tym sielskim piosenkami i obrazkami są drobne utwory poetki, malujące ciemne strony wielkowiejskiego życia. W nich Konopnicka schodzi do suteryn, gdzie w dusznej, piwnicznej izbie chorowite dziecko tęskni do słońca i powietrza; cierpi nad dolą robotnika, który powstawszy w sobotni wieczór od maszyny, nie wie, co zrobić z tą krótką chwilą świątecznego odpoczynku i w końcu udaje się do zadymionej izby szynkowej, zstępuje nawet na dno przepaści, tam, gdzie anioły odlatują stróże, gdzie jest najkrwawsza z ran krwawych tej ziemi, i przerażeniem zjęta, zażawionemi oczyma przypatruje się doli nędznych, ale zarazem i najniebezpieczniejszych istot...

A w podróży tej zawsze towarzyszy jej przyjazny geniusz miłości, co nigdy nie potępi, nigdy nie przeklnie, lecz raczej z bratnią pośpieszy pomocą.

Ale nie w tych obrazkach, nie w tych pio-

senkach drobnych należy nam szukać geniuszu Konopnickiej...

Najwybitniej występuje on w tych utworach, gdzie poetka wtajemnicza nas w dzieje własnej swojej duszy, gdzie cierpi i mówi za siebie samą. Bo o ile w poezjach, o których mówiliśmy wyżej, wielkie uczucie rozpraszało się na utulenie nędz drobnych, smutków powszednich, o tyle tutaj w pieśni jej odzwierciedla się ból całej ludzkości, której każdy genialny poeta jest wyobrazicielem.

I oto w przepysznych „Dniach smutku“ poetka daje usta wszystkim krzywdom ziemi, wszystkim nędzom i tęsknotom ducha—aby otworzyły błękitne drzwi nieba, aby tę powszechną skargę usłyszał sam Bóg.

I rozlega się wielki krzyk tęsknoty do ideału, do prawdy, dobra i piękna, do harmonii i spokoju, do powszechnej miłości i zgody...

Po tych pieśniach, które stanowią lwią część lirycznych poezji Konopnickiej, idzie szereg poematów, osnutych częścią na tematach historycznych lub podaniowych, częścią zaś na przejawach współczesnego życia.

Na pierwszym miejscu stawiam tu przepyszny szereg poetyckich ilustracji do „Wojny“ Grotgerowskiej... Jest w tym fragmencie lirycznego eposu tyle potęgi, tyle grozy, tyle bladego przerażenia, że poemat ten można śmiało postawić obok „Ojca zadumionych“ Słowackiego.

Przepyszne są także jej obrazy, zatytułowane ogólnie „Hellenica.“ I podziwiać zaiste trzeba, jak harmonijnie łączą się w tych utworach klasyczne motywy starogreckie z bolesną myślą człowieka dzisiejszej kultury. A jakie tu widzimy bogactwo barw, jakie płomienne słońce, jaką olśniewającą biel marmurów!... Tylko jeden Siemiradzki potrafi tak malować.

Na szczególną uwagę zasługuje prześliczna „Cytara Tymona.“ Znać ją pewno, szanowne czytelniczki, więc streszczać jej nie będę; chcę tylko zaznaczyć, że kto umiał w usta Tymona włożyć takie słowa, jak Konopnicka, ten jest nie tylko genialnym, ale pieśnią swoją nadewszystko kochającym poetą.

Śliczny jest także poemat z wojen Punicznych p. t. „Tarcza Scypiona.“

Jeszcze na wyższe szczeble natchnienia wdarła się poetka w swoich tematach biblijnych. Mojżesz jej jest dziełem, nie mającym sobie równego (naturalnie w tym rodzaju) w całej naszej literaturze. Nie mogę się tu oprzeć pokusie powtórzenia, przepysznego obrazu pojawienia się i zniknięcia Jehowy. Posłuchajcie:

Odszedł, jak przyszedł—w gromach.

Panie... Panie...

Wróć się!... Odwołaj w błyskach i piorunach
Ognistej kłatwy gorejące słowo,
Które nad moją przerażoną głową
W wichrach przelata—i w płomiennych łunach
Grzmi po przepaściach niebios: „Niech się stanie!“
Wróć się, o Panie!...

Oto się oddala

Na czterech wichrach splepanych, jak konie,
W błysk, który w dłoniach dzierży, piorunowy...
A za nim chmura, jak czara z korala,
Z której ogniste węże piją, płonie
Od skier, skrzesanych złotemi podkowsy!
Ucichło... Tylko pustynia łkająca
Tarza się w bólach, jako lwica płowa,

Co ma porodzić lwa, króla tych piasków;
A blade widmo umarłego słońca
W koronie swoich przygaszonych blasków,
Z grobu chmur czarnych powstaje...

Jehowa!...

Jehowa!.. Wróć się!..

Cisza, z burzy proga

Pan wstąpił w wiecznych błękitów swych gmachy,
I tylko w dali mdlejące przestrachy
Niosą tęczy płaszcz Boga...

Wiejący z obrazu majestat aż dech w piersi zapiera...

I ta sama poetka, która zdobyła się na taką niemal proroczą potęgę natchnienia,—w „Willi Cycerona“ skanduje, jak prawdziwy klasyk, co: „wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie, uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie.“

Pomnikowym wreszcie utworem Konopnickiej jest jej ostatni poemat epiczny p. t. „Pan Balcer w Brazylii.“

W tej epopei emigracyjnej mamy razem zebrane wszystko to, co nam poprzednio dała już poetka rozproszone w drobnych utworach; a nadto mamy jeszcze wspaniałą architekturę olbrzymiego gmachu, w którym każda część, będąc sama przez się arcydziełem, jest jednocześnie koniecznym członem przepysznej całości, wprost organicznie z nią spojenym.

„Powiedziano gdzieś“—pisze Władysław Rabski—„że Konopnicka najpotężniejszą jest tam, gdzie śpiewa wspaniałość natury—i gdy się czyta jej opis burzy morskiej w „Panu Balcerze,“ wtedy pieśń ta wydaje się istotnie niby kopułą złotą na wielkiej świątyni geniuszu. A jednak im głębiej wsłuchujemy się w strofy tej epopei emigracyjnej, coraz to nowe ku niebu strzelają wieżycy—i stoimy zdumieni przed kościołem jej ducha, wyciągającym sto ramion olbrzymich ku niebu.“

Prawdą to jest, zaiste!... W „Panu Balcerze“ wszystko jest jednakowo pięknem, wszystko żyje, zarówno natura, jak człowiek, zarówno dusza, jak materya.

Temi słowami zamykamy naszą niewyczerpującą ocenę, która jest raczej holdem, złożonym u stóp wielkiej poetki i wyrzutem dla tych, co za tyle darów królewskich nie umieli się należycie odwdziżyć.

Jeszcze raz powtarzamy, że czas już narreszcie zwrócić się do źródeł czystych i głębokich, czas otrzeźwieć z gorączki bałwochwalczego kultu dla fałszywych bogów, czas nauczyć się szukać piękna nie w szumnych frazesach i chorobliwym rozkiełznaniu wyobraźni, ale w szczerem i głębokim natchnieniu.

Największy z naszych poetów nie uciekał się nigdy do kuglarskich efektów, nie szarpał nerwów, nie paczył pojęć, ale wierzył święcie, że dla poety jedna tylko droga: w sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga...

I tak wierzyć powinniśmy zawsze, jeżeli nie chcemy narazić się na straszny zarzut niewdzięczności wobec tych, którzy są naszą dumą, naszą sławą...

Nie lękajmy się głosu obalamuconej mniejszości, która nam gotowa zarzucić obskurantyzm i zacofanie. Po czyjej stronie słuszność dopiero przyszłość osądzi...

Leon R.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Kanonik, wysoki mężczyzna lat średnich, miał obejście człowieka światowego, a w jego rozmowie znać było wyższe wykształcenie. Zajmował dawniej poważne stanowisko w katedralnej kapitule, lecz opuścił je dla misyjonarstwa wśród Tunguzów nad Angarą. Towarzyszyła mu tam jedyna jego krewna, sierota, wychowywana przezeń w klasztorze, i kilka lat spędziła z nim na samotnych brzegach Angary, dopełniając pod kierunkiem stryja przerwane wykształcenie, w warunkach, które hartują ducha i myśl pogłębiają. Przed paru laty powołano kanonika napowrót do diecezji, ale osadzono go na wiejskiej parafii w Obrywinie. Dygnitarz kościelny, który inuły nie pożądał, o beneficya się nie ubiegał, ochno przyjął skromne stanowisko w cichym kącie nad Bugiem—życzliwym zaś, który nad losem ubolewali, odpowiadał, że najlepszym i najodpowiedniejszym dla każdego stanowiskiem jest zawsze to, na którym go Pan Bóg postawi. Skromne gospodarstwo na plebanii prowadziła mu synowica, przy pomocy starej służącej i małego ministranta; a że nad Angarą trzeba było wyuczyć się wszystkiego, aby sobie wystarczyć tak pod względem praktycznym, jak i umysłowym, więc umiała przyłożyć ręki w kuchni i w ogrodzie, szyla i prasowała, a wieczorami czytywała stryjowi zagraniczne pisma w kilku językach i Ojców Kościoła po łacinie. Prócz tego pamiętała o przyozdabianiu domu Bożego, a w niedziele i święta grała i śpiewała na chórze. Z panną Wielolecką łączył ją koleżeński stosunek, gdyż wychowywały się w tymże samym klasztorze, i nie zapomniały o sobie, gdy jedna wyjechała do Paryża, a druga pomiędzy Tunguzów.

— Moja Klarus, — rzekła do niej Mewa zaraz na wstępie — co to za szczególne rodzeństwo mieszka w tej chacie nad Obrywem? Poszłam tam, obejrzeć hafty bombakowe, i możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy spostrzegłam w drugiej izdebce pianino i dowiedziałam się od służącej, że *panicz i panienka* grywają na niem całymi wieczorami... Ksiądz kanonik zna naturalnie wszystkie swoje owieczki, więc niech nam o nich opowie; ogromnie mi zaciekawia ta tajemnica!

— Tajemnicy żadnej tu niema, — odrzekł Kanonik, — więc mogę państwu opowiedzieć całą historię. Nie rozgłaszam wprawdzie szczegółów przeszłości Kalinieckich, ale to jedynie dlatego, aby nie dać powodów do bajek w okolicy. Mówię zwykle o nich tylko tyle, że są zubożałą szlachtą, która odważnie jęła się chłopskiej pracy. Ale państwo bajek tworzyć nie będziecie, więc możecie wiedzieć wszystko. Rzecz tak się miała: była na Podolu bardzo majątna wdowa, osoba zaena i rozumna, która jednakże nie umiała pokierować wychowaniem jedyne go syna. Rozpieszczony

chłopak wcześniej zaczął używać, stracił zagranicą całą ojcowską fortunę, potem nadzarpnął matczynej, a gdy mu matka zagroziła, że więcej długów jego płacić nie będzie, odpowiedział, że w takim razie spienięży swoje zdolności i swój tytuł. I rzeczywiście, najpierw wszedł do jakiegoś przedsięwzięcia, opartego na złej spekulacji, potem ożenił się z byłą atletką cyrkową, słynącą z najpiękniejszych w zakulisowym świecie wiedeńskim brylantów. Wtedy nieszczęśliwa matka wyrzekała się go — i postanowiła majątek swój zostawić w rękach, umiejących lepiej użyć dziedzictwa szlacheckich przodków. W tym samym czasie umarł jej imiennik i daleki krewny, zostawiając zadłużoną wioskę i dwoje dzieci. Hrabina zabrała do siebie sieroty, pokochała je i nauczona doświadczeniem wychowywała lepiej, niż własnego syna. Dzieci, z których starsze miało lat dziesięć, młodsze osiem, przebywały z opiekunką, zimą w Paryżu, latem na Podolu; tam kształciły swój umysł i talenta, tu przygotowywały się do przyszłej obywatelskiej działalności, gdyż ciotka zapewniła im spadek po sobie. Malwa wyrosła na kobietę gruntownych przekonań i silnej woli; ale z Jurem poszło trochę inaczej. Świat paryski rzucał wszystkie swoje sidła na bogatego, inteligentnego i pięknego chłopaka, a w tej wichurze wrażeń, w tym kołowrocie myśli, w tej powodzi namiętności duch młody mocno przysmał sobie skrzydeł. Krzepka natura słowiańska ma w sobie dużo odporności przeciw zgubnym prądom, nurtującym rassy przestarzałe. I Jur walczył z niemi czas jakiś, tłumil w sobie powstające zarody epidemii moralnych; ale wkońcu doznany zawód w sferze uczucia dopełnił miary — ogarnęła go apatia i niechęć do życia, a stracone wierzenia i zachwiane dawne ideały pozostawiły bez oparcia na drodze do zraty zdrowej logiki i czynnej energii. Wtedy zacna opiekunka, ostrzeżona przez rozsądną siostrę, postanowiła go ratować. Trzeba było, aby jak najprędzej opuścił Paryż i osiadł stale na wsi, gdzie w zajęciu się pożyteczną pracą, w zetknięciu z ziemią i ludem, najłatwiej znaleźć skuteczne lekarstwo na niebezpieczny nastrój ducha. Już hrabina zrobiła wszelkie przygotowania, aby powracać na Podole, — gdy wtem nagła wiadomość o nędznym końcu wydziedziczonego syna w jakiejś karczemnej burdzie spowodowała sercowy atak — a w następstwie śmierć. Wkrótce po pogrzebie zjawiała się u Kalinieckich była atletka, doprowadzona przez męża do zupełnej nędzy, a przedstawiając im troje małych sierot, upomniała się o spadek dla nich w imię sumienia — bo w imię prawa nieby w tym wypadku nie wskórała.

Kaliniecy nie wahali się ani chwili; majątek babki zwrócili w całości wnukom, sami pozostali z paroma tysiącami, które niegdyś z ojcowskiej wioski po spłaceniu długów otrzymali — i zaczęli zarabiać na życie... Jur rzeźbił parawaniki, Malwa haftowała wachlarze, dawali też lekcje muzyki, co przy skromnym procenciku starczyło im na jakie takie utrzymanie. Ale życie drobnych pracowników miejskich stało się dla nich w krótkim czasie niemożliwym. Uwięzieni w ciasnym mieszkanku przy ciemnej uliczce, skrepowani drobiazgami małomieszkańskiego bytu, zgubieni w mro-

wisku niewłaściwej sfery, do której powszedności i filisterstwa przystosowywać się musieli, uczyli się automatycznymi kółkami wielkiej lecz bezdusznej maszyneryi, a ich bogate i rozwinięte natury dążyły szybko do zmarnienia w biernym wegetowaniu. Malwa krzepiła się, jak mogła, ale Jur zaczął okazywać coraz bardziej niepokojące symptomy. Siostra poradziła się o niego dwóch biegłych medyków. Obaj zgodzili się na to, że neurastenii może się szybko rozwinąć i doprowadzić do samobójstwa lub obłąkania, jeżeli nie zapobiegnie jej rozwojowi. Dla przeciwdziałania jeden z nich zalecał rozrywki właściwe młodemu człowiekowi i długie podróże w wesołym towarzystwie, drugi zaś, młody i postępowy doradzał powrót na łono tej pierwotnej natury, która chorego wykołysała, proste, a zdrowe warunki życia i wiele ćwiczeń fizycznych. W skutku tej ostatniej rady Malwa wpadła na pomysł, którego wykonanie ogłędaliście państwo przed chwilą. Brata, który apatycznie pozwalał jej robić z sobą, co chciała, przywiozła do kraju, wybrała miejscowość zdrową, piękną i spokojną, znaną jej z listów Klary, nabyła od wyjeżdżającego do Ameryki Niemca-kolonisty spory kawał gruntu z porządną chatą — i oto rok już dobiega, jak pozyskałiśmy w nich miłych sąsiadów, tem miłszych, że moja Klara oddawna przyjaźniła się z panną Kaliniecką.

— I jakże ta zmiana podziałała na pana Kalinieckiego? — zapytała Mewa.

— Pod pewnym względem dobrze — odpowiedział Kanonik. — System nerwowy powrócił, zdaje się — do równowagi, gdy organizm wzmościło wyrobienie sił fizycznych i zahartował prosty tryb życia.

— A serce? a dusza?...

— O sercu nie wiem, o stanie duszy opowiadać mi niewłaściwie, choćbym ją znał nie ze zwierzeń, lecz z własnej obserwacji.

— Moja Klarus, zkażde twój stosunek z nimi? — zapytała Mewa Klary.

— Po twoim wyjeździe do Paryża, — odrzekła panienka, — Malwa odbywała dwutygodniowe rekolekcje w naszym klasztorze, i ten czas wystarczył, abyśmy się na zawsze zaprzyjaźniły.

— A brata jej nie znałaś poprzednio?

— Owszem... to jest właściwie znałam go z opowiadań Malwy, a widziałam raz tylko, gdy przyjechał siostrę zabrać z klasztoru.

Mówiąc to, blada panna Klara zrobiła się cała różowa.

Mewa klasnęła w ręce.

— Pensyonarskie dzieje! — zawołała, śmiejąc się. — Podlotek podlotkowi opowiada o dorosłym braciszku, szesnastoletnie serce gromadzi materyał wybuchowy, potem bohater zjawia się w rozmównicy, spostrzega interesujące dziewczę, płaczące przy pożegnaniu z siostrą, spogląda głęboko w błękitne oczki, a wtedy na dynamit pada iskra elektryczna — i fajerwerek gotów! Czy nie tak było Klarus?

Panna Klara z różowej zrobiła się bledszą, niż zwykle.

— Moja Mewo, — szepnęła, — jak ty czasem w dziwny sposób żartujesz!...

Mewa spostrzegła się, że była niedyskretną i poprawiła żywo:

— No, naturalnie, że już cała ta historia utonęła w zapomnieniu fali razem z dynastjami Faraonów i dopływami Bramaputry. Świat prędko zaciera pensyonarskie wrażenia.

Mówiąc to, myślała, że brzegi Angary nie są światem, i że tam pensyonarskie wspomnienie musiało stać się jedynym pokarmem wyobraźni, a gdy później przedmiot tych marzeń zjawiał się niespodziewanie w takim Obrywinie...

Zygmunt przerwał rozmyślenia Mewy.

— Możebyśmy zabrali się do odwrotu, kuzyneczko? Ojciec twój musiał już przyjechać, i pani Rejska prosiła, żebyśmy wcześniej wrócili.

Mewa wstała i narzuciła okrywkę.

— Wpadnę tu wkrótce do ciebie — rzekła, całując Klarę — i pójdziemy razem do panny Kalinieckiej. Wypada mi ich przeprosić... Wyobraź sobie, że mówiłam do tego pana „mój chłopcze!”

— W takim razie panie mi pozwolą towarzyszyć sobie, bo i ja mówiłem do panny Malwy „moja kochana,” a co gorsza, nie czuję za to skruchy, — rzekł, śmiejąc się Zygmunt.

— Naturalnie — rzekła Mewa — panna Malwa jest bardzo przystojną.

— Panna Malwa jest dzielną kobietą! — odpowiedział.

Wieczorem, na tarasie obrywińskiego pałacyku przy herbacie Mewa opowiadała z ożywieniem historję Kalinieckich ojcu i pani Rejskiej.

Pan Wielolecki, pięćdziesięciokilkolletni wdowiec, był niegdyś bardzo pięknym i miał u pań powodzenie, na co dotąd pamiętny, rzadkie włosy farbował na jakiś odcień orzechowy, twarz zwiędłą ożywiał stereotypowym uśmiechem, a jego krawat delikatnej barwy i kłapa surduta świeżym kwiatkiem ozdobiona składały fałszywe świadectwo dobrze zachowanej młodości. Uprzedzająco grzeczny dla kobiet, odkał wstawił zęby — bo przedtem jego galanteria miała odcień lekceważenia — poszukiwał wyłącznie ich towarzystwa, aby je olśniewać zaletami swego umysłu, co mu się wśród mężczyzn nie tyle udawało. Unikał tylko kobiet starych i pospolitych, każda zaś młodsza i szykowniejsza mogła być zawsze pewną, że mu się niezmiernie podobała. Córkę po rękach całował i dogadzał jej zachciankom, o ile go osobiście nie krępowały. Cieszył się i szczyił tem, że wyrosła na ładną i elegancką pannę, ale bez troski o jej

przyszłość, spokojnie dojadał mocno już nadgryzionej fortuny. W domu był rzadkim gościem, gdyż niby dla swoich nerwów często musiał przebywać zagranicą, a dla interesów w Warszawie, lub przynajmniej w gubernialnem mieście.

Prócz Mewy, miał jeszcze dwoje dzieci, siedmioletnie bliźnięta, które matka przy ich przyjściu na świat osierociła. Jaś i Nila chowały się pod wyłączną opieką pani Rejskiej, byłej nauczycielki Mewy jeszcze za życia pani Wieloleckiej, osoby w średnim wieku, miłej powierzchowności i poważnego obejścia. Pan Wielolecki powierzał jej kierunek swoich dzieci i zarząd swego domu z bezgranicznem zaufaniem człowieka, który nie znosi, aby mu humor psuły drobiazgowo starania i kłopoty.

— Jakże wygląda ta panna Kaliniecka? — zapytał córki, poprawiając sobie krawat.

— Cała ciemnozłota, jak bizantyjska ikona, — odpowiedziała Mewa.

— Przystojna? zgrabna?

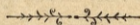
— Musiała być przystojną, nim się opaliła, i zgrabną, póki chodziła w gorsecie.

— Ale teraz, niestety, — dokończył z uśmiechem Zygmunt, — przerobiła się z żurnalowej lalki na polny kwiat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

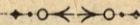


DEOTYMA.



NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM).“



(Ciąg dalszy).

Rósł na podwórcach Uniwersytetu,
Dziki winograd. Najśliczniejszy z Uczni,
Wziął jego liści do swego beretu,
I tyrs uczynił ze swojej pół-włóczni.
Dzwonił manierką u pasa zwieszoną,
I wykrzykiwał: «Słuchaj Vindobono!
«Ja zaprzysięgłem Trój-Kompanji naszój,
»Że na złość Turkom, co nie czczą Bachusa,
«Będę w ich oczach pił wino z téj flaszki,
«I tanecznego dam susa.»

— «Vivat!» — Lud krzyczał. — «Te chłopcy, to złoto.»
— Jednak nie wszyscy krzyczeli. Był słuchacz,
Który się gorszył Wiedeńską pustotą,
Eljasz Kühn, Szlązak, ponury, jak puhacz.
Prawda, że dziwnym był losu igrzyskiem.
Żył dawniej wesół w miasteczku pobliskim.
Tatarzy naszli mu dom. W oczach Kühna,
Zamordowali żonę nieszczęśliwą,
I czterech synów. A on, — wyszedł żywo.
Ta go zmieniała godzina.

Odtąd, był wszędzie gdzie najniebezpieczniej,
A nie w téj myśli, że walczy dla wiary,
Że gród ocali, lub imię uwieczni,
Lecz tylko na to, by tępić Tatory.
Dla prześlągania najdroższych popiołów,
Chciał własną ręką zabić stu Mongołów.
I już nie pytał, — szedł oślep na działa —
Sypiał na minach — polował na bomby —
Igrał ze śmiercią, — a śmierć go nie chciała,
Bo chciała piérw, hekatomby.

Teraz, przypadkiem stał tuż koło Pahra,
I pytał, ręką wskazując, młodzianka:
— «Cóż to za jakaś zapustna maskara?
«W te straszne czasy, taka pohulanka,
«To grzech! To zgroza!» — «Dość!» — Tamten odpali.
«To Król Majowy, wszyscy go wybrali.
«Kto mu przygania, ten wszystkich obraża.»
— «Co za król?» — Szlązak rzecze mrukowato.
«Ja nie znam żadnych królów z Kalendarza.»
I splunął. — Rzeźnik mu na to:

— «Widzę, że cała ta rzecz wam jest obca.
 «My w Wiedniu mamy na Piérwszego Maja,
 «Zabawę taką: wybiera się chłopca
 «Najładniejszego, i w zieleń przystraja.
 «Potém się bierze jakowego dziada,
 «Co wdziewa kozuch, i na łeb nakłada
 «Koronę z cukru, jakby krę spiczastą,
 «I ten jest Zimą, a tamten jest Wiosną.
 «Potém, gdzie dęby Kahlenberskie rosną,
 «Wszyscy ciągniemy za miasto.

«Ci dwaj się gonią. Śmiechy — bieganina.
 «Potém bój toczą. My póty patrzymy,
 «Aż póki Wiosna nie zwycięży Zimy.
 «Dopieroż radość! Zaraz Maj, zaczyna
 «Swe panowanie. Nakazuje wszędy
 «Śpiéwy i tańce, rozdaje urzędy,
 «My za to piérwszy fjoleczek mu dajem,
 «I jest uciechy aż po drugie rano.
 «—Owóz w tym roku, ten Student był Majem,
 «A mnie za Zimę przebrano.

«I zwyciężyło stworzenie to kruche!
 «Augustyn dotąd śpiéwa o téj walce.
 «Ma się rozumieć, że ja we dwa palce
 «Mogłem go chwycić, i zgnieść jakby muchę,
 «Lecz się dla śmiechu dałem wziąć w niewolę,
 «I odtąd bardzo kocham to pacholę.»
 — Pahr byłby dłużej snuł obraz wesoly,
 Kühn byłby dłużej miał zéza w żrenicy,
 Lecz już tymczasem przeciągnęły Szkoły,
 I, marsz! ruszyli Rzeźnicy.

Już się téż coraz i usłyszeć trudniéj.
 Od salw armatnich grunt jęczy, drżą ściany.
 Ogień rotowy z niedaleka dudni,
 I już dochodzi tak dobrze im znany
 Krzyk: «Allah! Allah!» — I przejść coraz trudniéj.
 Chyba tam Wiedeń do cna się wyludni?
 Wszyscy tu pędzą. Żyjący huragan.
 Zakony drepcą, na taczkach coś wiozą.
 Rój kobiet lata; ożyły pod grozą;
 Krzyczą: «Bierz kule! Daj sagan!»

Wkroczyli w pierścień drogi obwodowéj.
 Pod murem krążą. Mur, czerwieni szczeréj,
 Gruby na łokci dwadzieścia i cztery,
 Cięży nad niemi ogromem budowy,
 I po-przed słońcem pnie się tak wysoko,
 Że idą w cieniu, jakby pod opoką.
 — Zasieka. Wchodzą między palissady.
 Tu szczerbę w murach misternie zatkano,
 Klitka za klitką, i ściana za ścianą,
 Labirynt siedeł i zdrady.

W górze, tkwią głowy ucięte. Naokół,
 Woń bije brzydka, i ptactwo się mrowi.
 Tak Wiedeńczycy, na postrach Turkowi,
 Turecką modą upstrzyli ostrokół,
 Co się bynajmniéj Chrześcijanom nie chwali.
 Ale dla mężów, którzy je ścinali,
 To widok piękny. Rzeźnik, najzawziętszy,
 Już i te widzi, co dzisiaj tu spoczna.
 Wyszli z palissad. Mur znowu się piętrzy,
 A ciągle tłoczno i mroczno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czesław Jankowski.

Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Ciąg dalszy).

Gdyby nie ogólny bajroniczny ton poematu, zabarwiający — zewnątrz — postać samej Maryi, dzięki wielkiej jej prawdzie duchowej, moglibyśmy postawić ją na początku wcale innego szeregu postaci niewieścich, niż wśród grona romantyczno-sentymentalnych heroin. Bez wielkiego wysiłku, dałby się znaleźć w Maryi przebłysk realnego, szczerzego traktowania, którem wyposażono bohaterki powieściowe końca wieku...

Lecz oto bezbrzeżny świat wyobraźni przed nami.

Smutek długi i tęsknoty bezbrzeżne przyprawiły o śmierć biedną Ellenai. Położywszy się więc na łożu z liści, pomiędzy renami swe-

mi, obróciła ku Anhellemu szafirowe oczy zalane łzami wielkimi i rzekła; „Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam. Jam się przywiązała do ciebie, jak siostra, i jak matka twoja i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy.“ A gdy Anhelli wznosił umarłą i złożył na śniegu, przyszła Elloe i uklękawszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je nad umarłą i z pełnemi trzepu skrzydłami, wstawszy, na księżyc odeszła...

Zobaczymy ją znów, tę urodzoną ze łzy Chrystusowej na Golgocie, „piastunkę grobowców.“ Usiądzie nad zwłokami Anhellego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych

włosach i strzedz będzie, by go nikt ze snu wiecznego nie obudził *).

*) Malecki i Spasowicz powiadają: Elloe to symbol *«ciężkiej sławy, oraz rzewnej pamięci po zmarłych, przywiązanej do mogił, gdzie leżą ich kości, a zarazem obecnej w sercach, dla których te mogiły są drogic i świeże.»* Elloe — pisze natomiast Ign. Matuszewski — *«której losy, jak sam Słowacki zaznacza, opowiedziane «gdzieindziej,» — to przeniesiona do Anhelli'ego bohaterka poematu «Eloa» Alfreda de Vigny. Krasiński nazwał już Elloe «aniołem litości.» Nie omylił się; Elloe Słowackiego to symbol, uosobienie nie sławy, ale litości, najwyższej, najszczytniejszej litości. Nie wytlómaczonym przez to zostaje epizod z rycerzem, chcącym zbudzić trupa Anhellego. Ale w istocie — jeżeli uważać ów epizod za «szczegół drugorzędny» — zgodzić się wypadnie raz na zawsze z wywodami p. Matuszewskiego.*

Widzenie rozplynęło się—zbladło—i znikło.

Ach! patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana,
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak labędź kiedy rozwinie
Uśnieszony żagiel steru,
Kolysze się,— waha,— plynie....

Przecudowne, podsycone jeszcze barwami i blaskami odbicie Szekspirowskiej Tytanii!... Jak skra tęczowa wystrzela z kłębiącego się po przepysznym krajobrazie ponurego dramatu... A i Balladyna sama, a tuż w pobliżu powiewna, biała Lilla Weneda, a potem urągające opisowi wszelakiemu niewieście postaci z „Króla Ducha“ — toż to najprzedniejsze meteory sygnięte w świat poezji naszej dłońią niezrównanego czarodzieja.

W świat ten rozigranej fantazyi poetów podnoszą się również upowite z mgieł, niedomówień, kształtowane z płomiennych apostrof lub piorunujących imprekacji przebóstwione postaci ich ziemskich kochanek. Przeczuwamy je tylko; widzieć, nie widzimy; odtwarzamy je sobie, każdą inaczej, w wyobraźni. Przed każdą z nich biegnie jakby *Leitmotiv* wagnerowskich postaci, akord wzięty ongi na cześć „pani serca,“ lub nieśmiertelnem miotający w nią rozżaleniem. Posłuchajmy tylko:

Kobiet! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli.
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli....

Któż nie zna przygrywki tej, poprzedzającej ukazanie się Maryli? Słuchajmy dalej:

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdleвам z tęsknoty
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów...

Ach! któż jej nie odtwarzał sobie, tej „jasnej od promieni słońca,“ niepochwytnej a cudownej, nienazwanej nigdzie a znanej wszystkim, bohaterki „W Szwajcaryi!“ Są postaci historyczne, są postaci współczesne, których wystarczy imię wymówić, aby natychmiast zjawiły się, jak na zaklęcie w umyśle, w wyobraźni naszej... Taki przywilej mają też wielkich poetów Laury i Beatrycze, nieśmiertelnie popularne, nie z Bożej łaski, ale z łaski tych, co za rzucone im w duszę cudotwórcze uczucie odplacili się nieśmiertelności darem.. Słuchajmy jeszcze...

Pieśń więc tę zacznę, siostrzo, twem imieniem!
O! bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy — lecz pieśń, co nie kona,
Powróci kiedyś wierna mnie i tobie,
By jak Stróż Anioł, strzedz nas śpiących w grobie!
A może przyjdzie chwila, że wskrzeszeni
W czasie dusz wszystkich....

Zgarnijcie na stos jeden wszystkie życiorysy Delfiny Potockiej — i spalcie! Niech żadne szarpnięcie wyobraźni nie zmąci nam tego boskiego wlotu ducha, co odbił się tylko skrzydłem o kobiety żywej ramiona i poszybował w niedościgłą dal górną, unosząc nas, zachwyconych, ze sobą! Marnemu grzebaniu po szufladkach staroświeckich biurek — dajcie pokój, panowie! Stęchlizny tylko woń z nich uderzy; zaliż technienia wam jeszcze jakiegoś potrzeba dla podbicia bardziej jeszcze w górę wstępu i epilogu „Przedświtu?!“ Sam poeta wyrzucił z nich balast imion i dat — a wiedział, co czyni i zmusił nas uszanować dzieło

swoje, darząc literaturę polską *najwspanialszą inwokacją*, jaką kiedy, nie wyłączając Danta, natchnęła miłość poetę.

Wróćmy na ziemię.

Na powitanie nas, otrząsających się z fantazyi oczarowań, wychodzą oto bohaterki grupy ostatniej — a panie to całkiem innego pokroju, z którymi tocząc wywiadowczą rozmowę, zapoznamy się przedewszystkiem z kilkudziesięcioletnim rozwojem indywidualności polskiej kobiety wszystkich stanów. To już coraz wiernej, by tak rzec: fotograficznie odtwarzane, na wieczną rzeczy pamiątkę, postaci „z krwi i kości.“ Od Telimeny — do Anulki z „Bez dogmatu,“ i Seweryny z „Dwóch biegunów:“ od Ulany — do chłopka Prusa i Rejmonta. Ile ich powstało z pod pióra — jednego chociażby tylko Kraszewskiego lub Korzeniowskiego, co lubował się w kobietach śmiałych, odważnych, szlachetnych, uczuciowych, wytrwałych i — rozważnych. Ile satyrycznych wizerunków, ile wzorów do naśladowania, ile wiernych tylko kopii rzeczywistości! A potem cały szereg powieściowych i poematowych portretów niewieściech historycznych, mniej lub bardziej wierne odtwarzanych, jak wizerunki historyczne Matejki, „na podstawie starych pieczęci!“ Nie sposób orzec, która mianowicie postać fikcyjna niewieścia z tej grupy najgłębszy wpływ wywarła, której przyznać największą popularność (okrom Telimeny), która z nich wyszła „najdoskonalszą“ z pod autorskiego pióra. To tylko nie ulega wątpliwości, że systematyczne, ciągle, długotrwałe rozwijanie w powieściach „ideału“ kobiety polskiej, w znacznej mierze wpłynęło na moralne podniesienie się kobiet naszych w ogóle, na wzmożenie się ich przymiotów, a zwłaszcza dzielności ich duchowej. Nie nadaremnie, nie bezowocnie, kreśląc swoje powieściowe postaci niewieście, czyn zarazem obywatelski spełniali przedewszystkiem Żmichowska, Korzeniowski, Kraszewski, Orzeszkowa.

Typem urobionego z biegiem czasu, wykończonego, dopełnionego, syntetycznego *ideału* postawionego na schyłku stulecia, jako wzór przed kobietą-polką, jest Seweryna z „Dwóch biegunów.“ Znajdziemy złane w nią wszystkie prądy, co przetoczyły się w ciągu stulecia przez świat niewieści. Znajdziemy w niej: zupełną samodzielność, altruizm, poświęcenie się dobrobytowi ludu, hart duszy, dzielność męzką, wysoki, w sfery utopii sięgający, nastrój ducha, gotowość poświęcenia osobistego szczęścia ukochanej idei, obowiązkom społecznym, do których pełnienia poczuwa się na równi z mężczyzną, wreszcie uczuciowość, ale podporządkowana szerszym zadaniom, nie tylko wyrozumowanym, ale droższym, niż własnego serca uniesienia. Odbiegliśmy daleko od „tkliwych“ Malwin, od „użytecznych“ Krystyn (Hofmanowej), a nawet od „świętej“ Maryni Połanieckiej, której metryka świeżej daty, lecz ciasny zakres duchowy przypomina mocno przestarzałe ideały niewieście.

Marynia Połaniecka nie jest, w rozumieniu końca wieku, idealną, wzorową Polką. Nie Sienkiewicz stworzył typ taki. Natomiast Sienkiewicz odmalował nam obraz najprawdziwszej Polki *przeciętnej* dzisiejszej, a jest nią, niestety, Anielka z „Bez dogmatu.“ Nie syntetyczny to jeszcze wizerunek, w który nie weszły

rysy np. pani Latter, Madzi, panny Izabelli ze znanych powieści Prusa, bo też zaledwie możliwy do odmalowania „syntetyczny wizerunek Polki nowoczesnej.“ Ale Anielki cały podkład duchowy jest też niewieście-polski, nie przeobrażony jeszcze w tyłu kobietach naszych przez wpływ stawianych im przed oczy wzorów w rodzaju Seweryny.

I Sienkiewiczowi zawdzięczamy też Oleńkę, wobec której bledną wszystkie niewieście postacie „historyczne“ całej biblioteki naszej powieściowej i poezyjowej z lat kilkudziesięciu. Śmiało przypomnijmy sobie „niewiastę z wdzięków — bohatera z ducha,“ Grażynę, Wojewodzinę z „Mazepy,“ „Wandę“ Deotymy i nie dziwmy się, że żadna nie zmartwychwstanie w pamięci naszej postać niewieścia Czajkowskiego, Kraszewskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego. Bo nie myli się Klaczko twierdząc, że „Oleńka jest *pierwszą* niewieścią krea-cyą w naszej literaturze: mam na myśli niewiastę *szczytną* a *realną*, taką, jakiej Malczewski w „Maryi“ rzucił tylko sylwetkę. Literatura nasza nie była dotąd szczęśliwą w kreacych kobiety i Polki. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ dał nam dwa najpowszedniejsze typy: naiwną Zosię i kokietkę Telimenę. Grażyna, to *virago*, to Bradamanta, a nie powiem już nic o Aldonie. Słowacki — „na falach wyobraźnej pianki“ przadł z woni konwalii i księżycowych promieni niewieście kształty bez cienia, lub cienie bez kształtów. Oleńka pierwsza jest w tym rodzaju wielką krea-cyą. Instynktem niewieścim jest jasnowidząca wśród tumanów politycznych namiętności i zawikłań, instynktem odgaduje, gdzie prawda, gdzie obowiązek, gdzie świętość. Milczeniem tylko wymowna, tego Iwa Kmicica „potężnie uderza oczyma,“ w których się cały moralny błękit nieba przebija... Malczewski tylko *à deux crayons* naszkicował swoją Maryę jednym cudnym wierszem: „Być twoich chwil osłoda, czasem i ozdoba;“ Sienkiewicz w Oleńce wykończył i wyrzeźbił wszystko, co ten wiersz naznaczył.“

Takie mrowie niewieściech postaci w literaturze naszej! Samych kobiet Fredry przeszło ośmdziesiąt, u Słowackiego ze trzydzieści kilka — a pisarze to nasi, wiadomo, nie najpłodniejsi. I — żaden z tych wizerunków niewieściech nie wywarł jednak na piśmiennictwo nasze, na społeczeństwo nasze tak wielkiego, głębokiego wpływu, jak mężkie kształtowane przez autorów naszych postaci. Pod tym względem mierzyć się nie mogą: Aldona z Alfem, Zosia z Jurkiem Soplicą, Maryla z Gustawem... Niemal, nie wywarłszy wrażenia, przesunęły się mimo nas nawet Marya-Regina i Biała róża Żmichowskiej, podczas gdy pierwszy lepszy bohater Pola lub Rzewuskiego nastrojał nam dusze, którym inny bardziejby się przydał kamerton.

Cóż dopiero mówić o rywalizacji pod względem wywartego powszechnie wpływu i wrażenia, najznakomitszych niewiast literatury naszej, niewiast z zagranicznych piór wytworarami, poczętemi pod — szczęśliwą gwiazdą. Czyżby kobiety literatury naszej były tylko odbiciem gdzieindziej stworzonych oryginałów? Bynajmniej. Nie da się zaprzeczyć, że np. Goplana jest kopią Tytanii, a „Poganka“ zawdzięcza niezmiernie wiele „Lelii,“ powsta-

lej (w drugim opracowaniu) o lat dziesięć wcześniej pod piórem George Sand. Ale faktem jest też, że w poezji XIX-go wieku nie ma drugiej Balladyny z jej otoczeniem, mieniącem się barwami tęczy na tle piorunowych chmur, faktem jest, że nie masz w literaturze świata takiego poematu, jak „Szwajcarya,” i tak szczytnej apoteozy kochanki, jak w „Przedświcie.” Na tak wspaniałą imortalizację ukochanych kobiet nie zdobyli się ani „piewca Elwiry” Lamartine, ani Musset; dość powiedzieć: ani Heine. Faktem też jest, że te, pod których znakiem stały długo w świecie całym: upodobania, zachwyty, moda, naśladownictwo, „Korynna,” „Lelia,” kobieta Balzaka, pani Bovary, kobieta Zoli, kobieta Bourgeta, kobieta Ibsena, olbrzymiemi kreacjami bynajmniej nie są. To nie Werther, nie René, nie Childe-Harold. Zaś z wielu głośnemi na świat cały postaciami niewiast, niejedna z Polski rodem postać śmiało, ba, zwyczajko, mierzyć się może i jako duch, i jako kształt. Niedaleko szukając, wszak w całym zbiorze pism Bourgeta nie znajdzie się jednej kobiety, co by nie zbladła i skarłała przy Anielce Sienkiewicza. I,—zawsze bez krzty szowinizmu—dodać możemy, że piśmiennictwo nasze posiada najznakomitszy, najwyższej skali talent poetycki niewieści, któremu przeciwstawić równego nie może Europa: Konopnicką, która zaszczyliła niedawno, tłómacząc je, poezye Ady Negri.

A pomimo tego: rzeczą byłoby niewłaściwą usuwać z galeryi niewieściej wieku XIX-go wizerunki tych bohaterek, które miały szeroki rozgłos i wpływ wszechświatowy wywarły, zastępując je postaciami swojskich kobiet, które *byłyby* godne szerokiego rozgłosu i *mogłyby* wyrzucić wpływ wszechświatowy. Warunki poczytności pism polskich tak chciały, aby głos pierwszej lepszej bohaterki Byrona, lub głos Korynny i Lelii szerzej i szybciej rozlegał się po świecie. One, nie naszej literatury bohaterki, nadały w pewnym zakresie ton ubiegłemu stuleciu. One też przeważnie odezwały się—pierwsze; ukazały się *przeważnie* wcześniej na widowni, niż kreacje autorów naszych. One też, zarówno w dziejach wieku, jak i w galeryi niniejszej zajęły miejsca najwidoczniejsze, by tak rzec: honorowe.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ferdynand Hoesick.



NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

VEVEY.



(Ciąg dalszy).

W jedną z takich burz, tylko, że było to nie w nocy, lecz we dnie, znalazł się raz na środku jeziora Byron z Shelleyem. Wobec szalonego wichru, piorunów, ulewy i rosnących bałwanów, które co chwila mogły zatopić łódkę, nie było pewności, by się udało dobiec do brzegu, a więc ująć z życiem. Nie-

bezpieczeństwo rosło z każdą minutą, śmierć zdawała się unosić nad głowami dwóch genialnych synów Apollina, ale gdy wiosłujący Byron dobywał ostatnich wysiłków, by nie zginąć w rozszalałej topieli, Shelley z całym spokojem oczekiwał śmierci. „Uzucie moje—pisał później—byłoby wówczas mniej bolesnem, gdybym był sam jeden; ale wiedziałem, że mój towarzysz byłby usiłował ratować mnie, więc głęboko upokarzała mię ta myśl, że jego życiu mogło grozić niebezpieczeństwo, w skutek chęci ocalenia mojego.” Byron bowiem, jak wiadomo, był namiętym pływakiem, a gdy przebywał nad jeziorem Genewskim, więcej, niż gdziekolwiek indziej, uprawiał sport pływacki. Ciekawy szczegół pod tym względem zanotował o Byronie w listach swych Słowacki, który raz, mówiąc o swych przejażdżkach łódką po jeziorze, taką między innymi podaje wiadomość: „Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona i dlatego często z nim wchodzę w rozmowę. Stary wioslarz dotąd o niczem nie gada, tylko o angielskim poecie. Zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim zostanie po długim obcowaniu z lordem. Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o luidora, kto z nich prędzej na drugi brzeg jeziora dopłynie. „Nie dziw, że mnie lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czółno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało.” Powiada dalej, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi luidora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron, chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawa nogę, nie większą od jego dłoni...”

Tenże Byron powiada w jednej ze strof swego „Childe-Harolda,” że do rozważania piękności jeziora Genewskiego najwięcej przeszkadzali mu ludzie, snujący się po jego wybrzeżach, że dopiero w samotności, w dali od tłumy podróżyjących cudzoziemców, a zwłaszcza Anglików, mógł swobodnie oddawać się podziwianiu cudów tego poematu natury, jakim jest Leman, a zwłaszcza jego część południowa, od Vevey aż do Bouveret. Tego odosobnienia od świata, tej możności przestawiania sam na sam z pięknosciami przyrody, w dali od ludzkiego zgiełku, szukał tu także Mickiewicz, który w czasie pobytu swego w Lozannie, patrząc na błękitne wody jeziora, napisał swój piękny wiersz „Do samotności.”

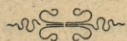
Samotności! Do ciebie biegnę, jak do wody,
Z codziennych życia upalów...
Tyś mój żywioł: te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.

Ponieważ w Vevey, tak samo jak w innych miejscowościach nad Lemanem, wszędzie uwija się mnóstwo podróżyjących z Baedekera-mi i aparatami fotograficznymi, więc kogoś nęci samotność, ten ją najłatwiej znajdzie na jeziorze, po którego gładkiej, jak szyba, powierzchni, każdy bezpiecznie może pływać łódką, podobnie, jak to w swoim czasie czynił Słowacki, a przed nim i po nim tylu innych zwykłych i niezwykłych śmiertelników. Dopiero na łódce, gdy się daleko odplynie od

brzegu, można się rozkoszować samotnością wśród prawdziwie zaczarowanej krainy. Dopiero wtedy, wśród ciszy, zakłócanej jedynie tarciami się wiosł o żelazne widełki w burcie łodzi, ogarnia się całą panoramę brzegów jeziora, której z Vevey, czy to z tarasu „Hotelu des trois couronnes,” czy z tarasu przed katedrą, widzi się część tylko. Z łódki dopiero, gdy się upłynie jakieś kilkaset metrów, widać całe Vevey, z domami wśród ogrodów, z mnóstwem topoli w ogrodach, z trzema wieżami kościelnymi ponad dachami i kominami, a wszystko to w dzień pogodny, gdy wiatr nie marszczy powierzchni jeziora, odbija się w wodzie. W głębi, za Vevey, zieleni się połogi Mont-Pélerin, cały w ogrodach i winnicach, wśród których szarzeje prosta linia kolei zębatej, dosięgająca aż samego wierzchołka góry. W dole, nad brzegiem jeziora, widać także kilka wiaduktów, po których od czasu do czasu przebiega pociąg kolei żelaznej z białą kitką dymu nad lokomotywą. Gdyby nie winnice, których kwadraty pokrywają większą część, a mianowicie całą dolną połowę rozłożystego Mont-Pélerin, góra ta, upstrzona białymi domkami wśród zieleni, wcale byłaby malowniczym tłem dla rozłożonego u jej stóp Vevey. Ale winnice psują nie tylko tę część wybrzeży Lemanu. Zwrócił już na to uwagę w swoim czasie Słowacki w jednym z listów do matki. „Wszędzie winnice okrywają wzgórki, a pejzaże tracą na tem bardzo wiele. Nic nudniejszego dla wzroku, jak winnice; całe jezioro Genewskie zbrzydło, obsadzone winnicami. Fasola nasza stokroć piękniejsza, bo na wyższych rośnie kijach i kwitnie czerwono, a któż z nas lubi pod oknami fasolę.” O ile część krajobrazu od Vevey w stronę Lauzanny, dzięki owym winnicom właśnie, pokrywającym płaskie wzgórze, śmiało może być nazwana nudną, o tyle druga połowa, poczynawszy od Tour de Peilz aż do miasteczka Meillerie, położonego naprzeciw Vevey po drugiej stronie Lemanu, należy do cudów Szwajcaryi. Ale dopiero z łódki, ze środka jeziora, można widok ten podziwiać w całej jego krasie. Widzi się wtedy przepyszny, w zieleni od góry do dołu skąpany amfiteatr zatoki Montreux z gęsto usianymi i przegładającymi się w jeziorze miastami i wsiami nad brzegiem; widzi się, tuż za półwyspem Tour de Peilz, małą skalistą wyspę Roche des Monnettes z śliczną willą pompejańską i ogrodem o kilku smukłych topolach (a wszystko to odbija się w wodzie); widzi się sielskie Clarens i wielkoświatowe Montreux z mnóstwem przepysznych hoteli, rozrzuconych nad wodą i po okolicznych wzgórzach; widzi się ponure średniowieczne mury i baszty słynnego zamku Chillon, stanowiące minorowy kontrast z majorową słonecznością całej okolicy; widzi się mnóstwo ośnieżonych szczytów i całą grupę różowawych Rochers de Naye, niewidzialnych z Vevey; a wszystko to ożywione statkami parowemi, zatrzymującymi się przy każdym znacniejszym miasteczku, i łódkami żaglowemi, których białe żagle, odbite od szafirowej toni jeziora, zdają się srebrne w słońcu. To samo da się powiedzieć i o mewach, z których jedne fruują w powietrzu, co chwila rzucając się do wody, by z niej następnie wydobyć się, trzepocząc skrzydłami, inne zaś, już

nasycone zerem, odpoczywają, pływając po jeziorze, do białych kaczek podobne. Co chwila też widzi się rybki, które, wyrzucając się nad powierzchnię wody, błyszczą srebrną skrzela.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wincenty Kosiakiewicz.

KARTKI Z PODRÓŻY.



I.

Powitanie Rivieri.

Świat—jak twój uśmiech.

Wszędzie jasno, wszystko w zlocie —
Morze w wesołych płasach u wybrzeża tańczy,
Powietrze, nasycone wonią pomarańczy,
Porusza się leciutko, jak usta w pieszczocie;

W gajach cytryn, w kamelii krzakach, ptaków
[chóry

Natchnione, układają szczere swoje pienia
W namiętny i wdzięczności pełen Hymn Istnie-
[nia —

W warkoczach bluszczów ciszą oddychają mury.

Sam ból, zakłęty w cyprys, liśćmi zielonemi
Wydierając się z oków wiążącej go ziemi,
Poważnie błogosławi święte życia zdroje,

Jak tu żyć — dobrze, myśleć — błogo, cierpieć —

[miło—
Słońce, które ten raju przedsięwzięcie stworzyło
Nosić winno, dziewczyno, słodkie imię twoje!...

II.

Cmentarz w Genui.

Ubogiemi wierszami—pyszny i zuchwały
Nie będę opisywał powagi twych murów,
Ni jasności wiszących nad tobą lazurów,
Ni ciszy, jaką dyszy twych krzyżów las biały.

Niema strun w mojej lutni, co by nie skłamały
Majestatowi twoich wspaniałych marmurów
I coby uroczystość rzeźbionych twych chórów
W tonach wizji niebiańskiej wyśpiewać umiały.

Uleczony twą ciszą, spokojny, jak w trumnie,
Patrzę na twe zielone i złociste niwy,
Tak gęsto szkarłatnemi skropione różami,

I widzę, jak śmierć z dali ciemnej idzie ku mnie,
I uśmiecham się do niej, silny i szczęśliwy,
Żem skropił całą drogę mą—krwawemi łzami.

III.

W Wenecyi.

Cicho, jak na cmentarzu. Barki mkną, jak trumny,
I tylko rzadka ostre krzyki przewoźników
Mijając się w kanałach, wokół narożników
Przerwą sen, jakim drzemią pałaców kolumny.

Złamany dziś twej mocy urok bezrozumny
I jarzmo, co krwawiło kark twych niewolników,
Lecz w koronie twych cudnych przeszłości pom-
[ników
Czolo twe dotąd pyszne, wzrok twój jeszcze du-
[mny.

O, Wenecyo! czas dziwnie ci pobłogosławił —
Potęgę ci odebrał, piękność pozostawił —
Ciebie los nie oszczędzi, jak ona, dziewczyno;

I twoja moc bezwzględna, i twoje jarzmo twarde
I spojrzenia, wyniosłe ciskające wzgardę
Wraz z twą pyszną pięknnością — w tym samym
[dniu zgina.



Podróżniczki po Afryce.



(Dokończenie).

Wyobraźmy sobie przestrzeń taką, jak od Warszawy do Pirenejów, przebytą przez kobietę to w uciążliwych jazdach na wielbłądach, to w nużących marszach po przez błota i trzęsawiska, to w walkach z wrogimi plemionami murzynów lub łowcami niewolników; a wszystko to przeplatane najokropniejszemi scenami w wioskach murzyńskich, walką z dzikimi zwierzętami i obrzydliwym robactwem, wśród najokropniejszych niewygód, wyziewów i tumanów moskitów. Ilekroć musiała pani Baker bronić się od malaryi, która z nocnemi oparami wznosi się z trzęsawisk i trującym swem technieniem grozi zarówno Europejczykom, jak tubylcom! Łatwo zrozumieć, że wrażenia takie w końcu znieczulają wszystkie zmysły, a organizm pod wpływem zabójczego klimatu utracą wszelką odporność. W tak rozpaczliwych położeniach umiała jednak pani Baker sztuczną drogą stwarzać sobie chwile złudzenia. Książka dawała jej zapomnienie przeżywanym godzin, unosiła ją w inne kraje, zdala od smutnej rzeczywistości. Widziała się w cieniu parku stron rodzinnych, w milej sereu okolicy, otoczonej wodą, kwiatami, a pośród nich... tu zwraca nagle wzrok w stronę: znajduje się nad Nilem, w gęstwinie sążnistych papyrusów; wiatr się odwrócił, przewoźnicy wchodzą do wody, by z gęstwy wyciągnąć łodzie na wolniejszą przestrzeń i holują dalej — robota mozolna i nudna, z niczem nie dająca się porównać. Ukończono ją wreszcie. Mężna nasza podróżniczka zagłębia się znowu w czytaniu; znajduje się teraz w górach swojej ukochanej Szkocyi, na bazaltowych brzegach Firth of Lorn, przysłuchuje się w myśli melodyjnym głosom Oceanu, wpatruje się w „czarne oblicze pola“, jak mówi Ossian i zdaje jej się, że widzi powstające z moczarów hufce fingałów, wtem podnosi oczy i ogląda te same pustkowia, wodę i gęstwinę. Cały kraj to jedno trzęsawisko. W nocy słychać parskanie hypopotamów i szmery miliardów moskitów, tych „słowików górnego Nilu“. Nawet na czarnych afrykańskich przewoźników przygnębiająco oddziaływa to powietrze, ta woda, to ciemne niebo ze swem palącym słońcem. Zdejmuje ich ociężałość i albo nucą monotonne pieśni, albo też palą całemi dniami.

Gdy się tygodniami całemi przebywało te jednostajne, olbrzymie przestrzenie, wówczas dopiero można zrozumieć niechęć starego świata do badania Nilu. Nieśmiały tysiączne zdarzają się sposobności do odwrotu, ale i najsilniejszych ogarnia poniekąd zwątpienie i mimowoli stawia sobie pytanie: jak i gdzie się to skończy? Sumę tych wrażeń potęguje jeszcze pewien ludek, „Kycz“—najnędnniejszy z najnędnniejszych w obrębie górnego Nilu. Pani Baker zaznała i tego towarzystwa. Widziała ona, jak te wstrętne wychudłe postaci podpełzały w nocy do samego ogniska, a robiły to, uchodząc od chmar moskitów; widziała ona tych samych nędzarzy i w suchej porze roku, gdy kraina Kyczów przedstawia

niezmierzone bagna i tylko pagórki termitów sterczą, jako suche plamy. W tych punktach gromadzą się tubylcy kupami, jak dzikie zwierzęta wśród powodzi i nacierają się gorącym popiołem dla ogrzania zziębniętego ciała. Gdy się wyjdzie z tego piekielnego odmetu, zaczyna się znów ta sama historia: wyziewy, moczary, moskity i nędza! Jak daleko sięgnie oko, same błota, bez życia, bez ruchu. I znowu trzeba łodzie holować po przez gęstwinę zarosli. Konie i wielbłądy, całemi tygodniami stojące na uwieży na łodziach, zaczynają się niepokoić i kopią każdego, kto się do nich zbliży. Nogi wielbłądów trzeba mokremi gałganami owijać dla ulżenia bólu, jaki im sprawia to nieprzerwane stanie.

Takim jest „błogosławieństwo Sudanu“.

Panuje ono nad krajem, który potężne narody przez szereg wieków poczytywały za „wielką tajemnicę“ ciemnej części świata, z kąd wypływa Nil „z nieba zrodzony“—a jest to kraj nędzy, zatrącenia, zarazy. I w takich to stronach naszej ziemi wytrzymać umiała kobieta, przyzwyczajona od dziecka do najwyszukiwanych wygod i rozkoszy zachodniej cywilizacji! Nie zbierała ona wawrzynów swego męża, była tylko obojętnym widzem niefortunnej misji anti-niewolniczej. Jak prawdziwa męczennica, przetrwała bohaterko przy boku swego męża niedostatek, nędzę, walki i niebezpieczeństwa, składając tem dowód, że i pleci słabszej nie brak tych cech charakteru, jakie zwykle silniejszej połowie rodzaju ludzkiego przypisujemy.

Prawie w tych samych czasach, gdy małżeństwo Baker bawiło w Sudanie i nad górnym Nilem, w Chartumie stanowisko konsula angielskiego zajmował John Petherick, który poprzednio zdobył sobie sławę badaniem półwyspu Sinai. Z powołania kupiec, utrzymywał on na własny rachunek stację handlową w tych stronach, które powyżej opisaliśmy. W r. 1862-im otrzymał od królewskiego Towarzystwa geograficznego w Londynie polecenie wyjścia na spotkanie angielskich podróżników Speke'a i Grant'a, którzy z Zanzibaru zdążyli do źródeł Nilu. Odważna jego małżonka nie dała się odwrócić od postanowienia odbycia razem tej podróży. Po zwyciężeniu niezliczonych przeszkód i trudności, małżeństwo Petherick stanęło w lutym 1863-go r.—po całorocznej podróży—w Gondokoro. Jakkolwiek Speke i Grant w okrągły rok później, niż się spodziewano, przybyli na miejsce, stanęli jednak o pięć dni wcześniej od Petherick'a, i Speke skorzystał z pomocy p. Samuela Baker'a, który również w tym czasie przybył do Gondokoro. To było zgubą Petherick'a; na skutek skargi Speke'a pozbawiono go posady i umarł ten dzielny człowiek d. 15-go lipca 1882-go r. w Londynie, zapomniany przez wszystkich, nawet przez przyjaciół. Wierna jego towarzyszką życia i podróży poprzedziła go na tamten świat o trzy lata.

Tragiczny los niezwyklego rodzaju spotkał podróżniczkę afrykańską pannę Tinné. W drodze na Nilu prawie całe jej towarzystwo zapadło na febrę. Ofiarami zabójczego klimatu padli baronowa Capellar (matka panny Tinné), jej siostra, dwie służące Holandki, oprócz tego doktor Steadner i signor Contavini, ale i pannie Tinné, najodważniejszej ze wszyst-

kich tych kobiet, które nigdy nie podróżowały w tej ciemnej części świata, nie sądzonem było wyostać się z niegościnnego kraju. Polegając na umowie Francji z wodzem Tuaregów (berberyjskich mieszkańców Sahary), wyruszyła panna Tinné z Murzuku, z wielkiej trypolitańskiej oazy Ferranu. Do karawany przyłączyła się wkrótce szajka z sześciu Arabów i ośmiu Tuaregów, którzy stawiali na drodze podróżniczki przeszkody. Z pomocą obfitych środków pieniężnych udało jej się dojść do porozumienia tak, że bruźdźciele zaciągnęli się do jej wyprawy, jako dobrowolni przewodnicy. W sierpniu 1869-go r. doszło między Arabami i Tuaregami do sprzeczki, w którą wtrąciła się panna Tinné, w celu przywrócenia zgody. To było powodem do zamordowania odważnej podróżniczki wraz z dwoma jej towarzyszącymi holenderskimi marynarzami. Jeden z Tuaregów odrąbał panie Tinné wyciągniętą jej prawą ręką, podczas gdy Arab wystrzelał z karabinu w pierś, położył ją na miejscu. Dowiedzionem zostało później, że spór między Arabami i Tuaregami był rozmyślnie udanym fortelem, a morderstwo z góry ułożonym czynem. Po części wina tej katastrofy spada na samą pannę Tinné, która przy każdej sposobności nie omieszkowała ostentacyjnie wystawiać bogactwa swego na pokaz. Przy opieszałości rządu tureckiego w Trypolisie, rozumie się samo przez się, że sprawcy zabójstwa pozostali nie ukarani. Panna Tinné i dwaj jej towarzysze zostali pogrzebani w Birgnig.

Nasze polskie niewiasty, zrosnięte z ojczyzną ziemią, nie okazują upodobania do wędrówek po świecie, chyba do wód lub na Rivierę. Znalazła się wszakże jedna, która w dalsze wyruszyła strony i aż o Fernando-Po się oparła. Jest nią Hajota (Helena Szolc-Rogozńska), znana chlubnie w naszym piśmiennictwie, tylko, że pionierskie jej zamiary nie skończyły się tak pomyślnie, jak się spodziewała.

J. N.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Opera: „Flis,” „Jaś i Małgosia.”—Koncert: Stojowskiego, — Issaye, Sauret, Godowski.—Nowości muzyczne.

Opera wzięła się do pracy na dobre. Niedawno ujrzeliśmy „Werthera,” obecnie wystawione zostały dwie nowości — „Flis” i „Jaś i Małgosia” Humperdincka, a słyhać, że próby z „Dalibora” Smetany są już pono w pełnym biegu.

Miluchna opera Moniuszki właściwie nowością nie jest, gdyż około dwudziestu lat temu grywano ją u nas dość często. Od tego czasu zeszła z repertuaru i młodszej generacji prawie wcale znaną nie jest, dopiero ją przed niedawnem przypomniał Teatr ludowy. Flisa skomponował Moniuszko w Paryżu w ciągu czterech dni letnich, a w roku pamiętnym dla siebie — 1858, w tym samym, kiedy otrzymał nominację na dyrektora Opery, po powrocie do Warszawy, w dwa miesiące niespełna wystawił najświeższy ten swój utwór. Treść prostą podnosi oczywiście muzyka podobna, prosta, niewyszukana, rdzennie polska, napoły liryczna, napoły buffo, albowiem żywioł komiczny reprezentuje fryzycyzyk w aryjkach pełnych humoru, wdzięku i ruchliwości. Że z niwy ojezystej umie Mo-

nuszek — jak nikt może inny — uszczknąć kwiecie najmilsze, najwonnejsze, że przemówi zawsze melodyą z pod serca zdaje się wyjętą — dowodzić tego chyba nie potrzeba. Jeżeli nie stworzył arcydzieła, jeżeli „Flis” cokolwiek ustępuje zaokrąglonemu bardziej i tęszemu „*Verbum nobile*,” niemniej jednak dużą posiada wartość, obfituje w śliczne numery i bądź rozwesela, bądź wzrusza głęboko słuchacza. Chcąc wyszczególnić piękniejsze w obrazku tym ustępy, trzeba chyba wyliczyć wszystkie po kolei; utwór ten dany jest w opowie bardzo starannej, a wykonany pod każdym względem doskonale przez p. Korolewiczównę, pp. Florjańskiego, Górskiego, Dyllińskiego i Kawalskiego, dobrze ześpiewane chóry, oraz zgraną orkiestrę pod energicznym kierunkiem dyr. Młynarskiego.

Dwuaktowa opera Humperdincka należy do najpiękniejszych i najoryginalniejszych z tych, jakie w ostatnim lat dziesiątku stworzono. Treść poczerpnięta została z popularnej bajeczki Grimma, znanej pod tytułem „Hänsel und Gretel,” a udratyzowana przez Adelaidę Wette, siostrę kompozytora na użytek małuczkich wychowanków jej pensjonatu. Humperdinck na żądanie siostry ułożył do tej baśni muzykę, osnutą na znanych w Niemczech piosenkach dzieciennych i szkolnych. Później dopiero przerobił całą bajeczkę, uzupełnił partycję melodyami własnymi, zinstrumentował wszystko po Wagnerowsku i puścił w świat szeroki. Opera, wystawiona pierwotnie w Lipsku, a później kolejno na wszystkich scenach niemieckich budziła wszędzie nieklamany zachwyt. Z Niemiec dostała się do Lwowa, gdzie wystawiona została również z wielkim powodzeniem, następnie trupa lwowska zapoznała z nią przed kilku laty i Warszawę. Wówczas, nawet w tak nieodpowiednich warunkach (dawana była w gmachu cyrkowym) podobała się publiczności naszej bardzo; obecnie wystawiona z zastosowaniem tych środków technicznych, jakimi rozporządza scena wielka, wywiera jeszcze większe wrażenie. Na czem — że polega piękność i oryginalność „Jaś i Małgosia?” — Odpowiedź krótka — na świeżości i poetycznym uroku, pomysłu i muzyki. Zużytkowanie fantastycznej, a naiwnej baśni dziecięcej, zrobienie małuczkich bohaterami dramaciku, posilkowanie się przytem popularnymi wdzięcznymi melodyami i zlanie w harmonijną całość prostoty z wytrawnością pracy artystycznej przynosi słuchaczom coś nowego, co posiada urok i nawet rozmarza. Muzyki słyha się nadzwyczaj przyjemnie, tembardziej że autor ma tak wielką zaletę — jak uczuciowość, że w serce umie patrzeć i doń przemawiać. Melodyi pięknych jest bardzo dużo. Wszystkie ustępy snują się nadzwyczaj płynnie i opracowane są prześlicznie. Szczególnie piękną robotą tematyczną odznacza się cały akt drugi. Instrumentacja opery jest barwna i w wielu razach misterna, a władanie umiejętnie wielogłośnością sprawia to, że w orkiestrze jest ciągły ruch i życie. Wykonanie opery cechuje staranność ogólna: każdy w swoim zakresie robi, co może, żeby przyczynić się do powodzenia całości. Role tytułowe mają pod względem wokalnym i zewnętrznym dobre wykonawczynie: p. Bąkowską i Kamińską. Śpiew obu artystek obdarzonych ładnymi głosami, wywiera miłe wrażenie, a patrząc na drobne ich postacie, pełne wdzięku i ożywienia, ma się złudzenie, iż widzi się na scenie rzeczywistość parę „Milusińskich.” Role matki, ojca i czarownicy w wykonaniu p. Frenklówny, p. Górskiego i p. Szczepkowskiej wychodzą bardzo dobrze; chóry trzymają się dzielnie, zarówno jak i orkiestra pod wodzą p. Podestiego. Wystawa opery jest okazała: dekoracje są malownicze, efektownie i starannie wykończone; środki techniczne przy pojawianiu się różnych widziadeł nie zawodzą ani razu; zmiany lub znikanie obrazów odbywają się dokładnie i szybko; efekty oświetlenia zwracają ogólną uwagę. Układ sceniczny pod doświadczoną reżyserją p. Chodakowskiego odznacza się wielką pomysłowością. Czarodziejska baśń Humperdincka w tej szacie, w jakiej ukaza-

ła się na scenie Wielkiej, może liczyć na duże i stałe powodzenie, tem bardziej, że wykonana jest w języku polskim.

Cóż mam więcej pisać o operze? Chyba to tylko, że z gości zagranicznych śpiewają w niej z powodzeniem: obdarzona prześlicznym głosem i rzetelnym artyzmem, p. Bianchini-Capelli, tenorzy pp. Constantino i Russitano i poprawny barytonista p. La Puma; ze sił swojskich wystąpili: pełna talentu mezzo-sopranistka, panna Margot Kaftalówna i lwowianin, p. Szlafenberg, śpiewak o fenomenalnym głosie, jednak niezupełnie władający techniką śpiewacką, że obok oper repertuaru włoskiego dawane są często opery swojskie, oraz że po przyjeździe p. Didura wznowiono wspaniałe „Widma” Moniuszki...

Załatwiwszy się z operą, przechodzę do koncertów, któremi obie nasze instytucje muzyczne, Filharmonia i Towarzystwo Muzyczne, formalnie zalały Warszawę. Na obu estradach ukazywały się kolejno w ciągu grudnia i w początkach bieżącego miesiąca takie siły znakomite i pierwszorzędne, jak: pp. Barbi, Bellincioni, Tilly Koenen, Avani; panowie: Rosenthal, Pauer, Zur-Mühlen, Sauret, Godowski, Rothmühl, Issaye, Stojowski, Lhevinne, Bandrowski i in. Naturalnie, o wszystkich koncertach mówić tu niepodobna; dość będzie powiedzieć w kilku słowach, iż wszystkie były świetne i udały się przewybornie. Jednak wypada zwrócić uwagę na dwa z nich, mianowicie na ten, na którym wykonano cały akt z „Walkiryi” Wagnera, i na kompozytorski Zygmunta Stojowskiego, a z całej plejady znakomości wyróżnić kilka prawdziwych wielkości, jak Issaye, Godowski i Sauret. Dzięki dyrekcji Filharmonii, poznaliśmy przynajmniej część „Nibelungów” Wagnera, mianowicie pierwszy akt „Walkiryi.” Pomysł to znakomity, ale sam fakt wykonania zbyt ryzykowny; śpiewać bowiem Wagnera na estradzie, w toaletach balowych, nie mając poparcia w tak ważnych czynnikach składowych dramatów muzycznych Wagnera, jak dekoracje, maszynery, kostiumy, efekty oświetlenia, gra sceniczna i wogóle to wszystko, co wywołuje w widzach i słuchaczach nastroje różnorodne, toć to zadanie nadzwyczaj trudne. Jeżeli zaś wykonawcy podołali mu szczęśliwie, a publiczność wyniosła wrażenie silne i podniosłe, zawdzięczać to należy szczęśliwemu wyborowi dzieła, w którym wszystkie wyżej wyszczególnione czynniki, mniejsze, niżeli w innych częściach „Nibelungów” znajdują zastosowanie. Przytem z całego cyklu, na który składają się aż cztery partycje, bezwarunkowo najbardziej właściwie przystępną jest „Walkiryja.” W tych operach śpiew, po za nielicznymi i przeważnie krótkotrwałymi wyjątkami, został w niej, zarówno jak w całej tetralogii, znacznie upośledzony, a zadanie śpiewaków zasada się niemal wyłącznie na rytmicznym deklamowaniu wyrazów tekstu, gdyż prawie wszystkie pomysły melodyjne powierzone są orkiestrze, jednak ten podkład orkiestrowy jest tak piękny, tyle w nim samodzielnej melodyi śpiewnej, tyle myśli wspaniałych, tyle, jednym słowem, muzyki przystępnej i w ogóle dobrej, że dzieło to łatwo zrozumiałe być może. Dlatego to od tej opery rozpoczyna się zazwyczaj wszelka działalność poważniejsza, mająca na celu zaaklimatyzowanie nowszych prądów wagneryzmu na obcym gruncie, i Filharmonia, wystawiając cały akt, dała tem poznać, iż myśli właśnie część działalności swej skierować w tę stronę. Wykonanie pod kierunkiem dyr. Młynarskiego ze współudziałem uczeniicy Reszkego, panny Chotkowskiej, oraz pp. Bandrowskiego i Didura było wyborne.

Zarówno ciekawy był koncert Zygmunta Stojowskiego; mieliśmy sposobność zapoznać się na nim z rodakiem naszym, używającym po za granicami kraju dużego rozgłosu w podwójnej roli — kompozytora i pianisty. P. Stojowski przedstawił nam kilka większych utworów ze swego dorobku kompozytorskiego, mianowicie: Symfonię, Koncert na fortepian, Fantazyę polską na fortepian z orkiestrą i Odeę Horacego p. t. „Wiosna,” na chór mieszany, oraz sporą wiązkę mniej-

szych utworów. O Symfonii pisałem obszerniej z okazji pierwszego koncertu inauguracyjnego Filharmonii, na którym wykonaną została, nie będąc się przeto powtarzał. Koncert na fortepian niebardzo mnie zachwycił. Z jednej strony widnieje z kart jego niezaprzeczony talent, pomysłowość często szlachetna, w szczegółach nieraz wiele oryginalności, z drugiej zaś ustawiczne gubienie się myśli przewodniej pośród akcesoryów, pewna napuszystość, brak prostoty i jasności nie działają dodatnio, osłabiając wrażenie ogólne. W całości koncertu, poczętego w duchu ultranowożytnym znać często przemysłowanie nad osobliwymi efektami, nad osobliwym wyrażeniem „złożonej“ duszy „schyłkowca“, pływającego się chętnie w morzu dźwięków, morzu... bezbrzeżnym, chaotycznym, nieskończonym. Te same braki zawiera i Fantazyja polska. Jeśli rozpatrywać tę pracę ze stanowiska ściśle technicznego, przyznać należy, że kompozytor osiąga już bezwzględnej doskonałości w technice kompozytorskiej. Jeśli jednak wnikać w duchową stronę Fantazyji, okazuje się, że muzyki prawdziwej posiada ona bardzo niewiele. Myślom autora brak szerszego polotu, pomysłem prostoty. Melodye jego nie płyną szeroką falą, są krótkie, o wyszukanych zazwyczaj interwałach, za mało szczere, wynikłe raczej z retoryki umysłowego obliczenia, aniżeli z głębi duszy, i dlatego zupełnie nie przemawiają do serc słuchaczy. Fantazyja posiada przytem jeszcze i tę wadę, że pomimo tytułu „polskiej“, cech polskość wcale nie posiada. Są w niej wprawdzie tematy o rytmach niby to krakowiaka i mazura, ale charakter ich daleki jest od charakteru rytmów ludu naszego. Sumując wszystko powiedziane, dochodzimy do wniosku, że Fantazyja p. Stojowskiego pod względem zewnętrznym świetnie zrobiona, posiada wiele szczegółów technicznych, które mogą zająć, i bardzo nawet, specjalistów i znawców, na ogół zaś żadnego głębszego wrażenia wywrzeć nie może. Wywrzeć je może za to, w silnym stopniu „Oda“ Horacego—dzieło piękne bez zastrzeżeń. Melodye w niej posiadają wiele prawdziwego natchnienia, są piękne, szlachetne, forma utworu jest doskonała, opracowanie prześlizne, z całości zaś wieje prawdziwy czar wiosny. O p. Stojowskim, jako o pianiście, nie będę się dłużej rozpisywał, zaznaczam tylko, iż gra jego odznacza się śliczną techniką, nadzwyczajną drobiazgowością i subtelnością, oraz dużą inteligencją, lecz z powodu braku pięknego, dużego, pełnego męskiej siły tonu nie przedstawia nic nadzwyczajnego.

Co się tyczy znakomitości, z jakimi zabraliśmy znajomość w omawianym czasie, to, jak to nadmieniliśmy wyżej, na szczególną uwagę dla wielkości artyzmu zasługują Issaye i Sauret, oraz Godowski.

O ostatnim z tych „wszechświatowych championów“, pianiście, p. Leopoldzie Godowskim, wystarczy wyrzec w paru słowach, że posiada wszystkie dane, aby być pierwszym między najpierwszymi. Technika jego doprowadzona jest do takich granic, że żadne pióro określić ich nie zdoła. Dość powiedzieć, iż większa jest jeszcze, niż u Rosenthala. Przytem gra znakomitego pianisty obliczona jest nie tylko na odurzający efekt zewnętrzny — jest ona bardzo zasobna w pierwiastek duchowy: Godowski potrafi kłaść nacisk na intencje głębsze kompozytorów, umie plastycznie uwydatnić myśl twórczą, uczucie i nastrój właściwy i nadawać wykonywanym przez siebie utworom urok niezwykły.

Na zakończenie niniejszego przeglądu napiszę jeszcze nieco o nowościach muzycznych. W ostatnim numerze „Melomana“ wyszły: wdzięczny urywek kołowy do śpiewu Noskowskiego, Preludjum nr 9 Floersheima, „Jutrzenka“ Kleina i ładny mazurek Wierchleyskiego na fortepian, oraz Adagio z kwartetu Rode-Jockischa na skrzypce i fortepian. Dobrze w ogóle zasługuje się muzyce sympatyczne to wydawnictwo. W ciągu trzech lat istnienia wydało ono 230 utworów (w tem połowę swojskich kompozytorów) na fortepian, do śpiewu i na skrzypce, między którymi

wiele prawdziwie cennych. Zbiór ten obejmuje wszystkie rodzaje twórczości nowoczesnej, przy czem wybierane są one artystycznie i opracowywane pedagogicznie.

Inni wydawcy z powodu pory karnawałowej wystąpili z utworami przeważnie lżejszemi, tańiecznymi. Nakładem Konstantego Treptego wyszły z druku: Romans do śpiewu zgasłego niedawno kompozytora, Bohdana Borkowskiego, oraz charakterystyczny Marsz lotaryński Ganne'a, tegoż Ganne'a Polka-mazurka p. t. „Japonka“ i melodyjny walc Aubera „Wspomnienie.“ Firma Sennewalda wydała album karnawałowe nr 1, w którym na wyróżnienie zasługują: oryginalny walc cygański „Zakochana“ Rudolfa Bergera i kontredanse, zręcznie ułożone z rozmaitych modnych obecnie operetek przez H. Brzezińskiego, dalej ładne walce salonowe Margisa i Gurlitta, oraz ślicznego gawocika Lemaire'a p. t. „Vous dansez Marquise.“ Nakładem wreszcie firmy Gebethnera i Wolffa wydane zostały: dwa utwory taneczne członka orkiestry teatru Rozmaitości, p. Edwarda Pianowskiego — polka i polka-mazurka—oraz cały szereg walców i polek Bergera, Wetraszka, Mahra, Blona, Maillé'go, Tapaniego i innych. Wszystkie te nowości mają tę zaletę, że są melodyjne, wybrane umiejętnie z pośród mnóstwa utworów tego rodzaju; a co najważniejsze, modne. Wyróżniają się z pośród nich walc Bergera p. tyt.: „Bal blanc“ i walc Blona „En songe“ z wielkiem powodzeniem wykonywany podczas lata przez orkiestrę Windersteina w Dolinie Szwajcarskiej.

St. Dziadulewicz.



Ciekawe wiadomości.



I.

Żywo mamy wszyscy w pamięci prześlizną powieść Piotra Loti „Rybak Islandzki.“ Bohater książki, dzielny Jan—ginie u brzegów Islandyi w sile męskiego wieku i zaraniu ziemskiego swego szczęścia. Lodowata ta wyspa, do której rok rocznie dążą w wielkiej ilości francuskie rybackie statki — odcięta jest od świata. Statek zaskoczony przedwczesną zimą, sparty górami lodu ginie, bo Europa o grożącym mu niebezpieczeństwie nie wie i nikt z ratunkiem pośpieszyć nie może.

Telegraf zatem między Islandyą a Europą doniosł oddałby pod tym względem usługę. Literatura wprawdzie, zubożałaby o jeden wdzięczny temat, ale za to normandzkie i bretańskie rybackie statki mniejby może lez wylewały, — a na ścianach ubogich wiejskich kaplic nie byłoby tylu czarnych krzyży z ponurym napisem: „Taki a taki zginął na morzu! Wyjechał dnia X roku X—nie wrócił. Pokój jego duszy.“

Poruszano już niejednokrotnie projekt telegraficznego połączenia Islandyi z Europą. Punkt ciężkości obrzymiego tego przedsięwzięcia tkwił przeważnie w kwestyi materialnej. Zarówno państwa, jak prywatne towarzystwa, cofały się dotąd przed ogromem wydatków. Tymczasem „Cosmos“ donosi, że gordyjski węzeł został przecięty i że „Towarzystwo północnych telegrafów w Kopenhadze“ pracę wkrótce rozpocznie i przeprowadzi telegraf między Islandyą, wyspami Szetlandzkimi i wyspą Feroé.

Wiadomość ta budzi żywe zainteresowanie w szerokich kołach cywilizowanego świata.

Uczeni wielkie pokładają nadzieje w tej nowej arteryi komunikacyjnej,—ułatwi ona bowiem niesłychanie meteorologiczne badania północnej Europy. Francuskie towarzystwa połowu ryb w Islandyi nie będą już nadal wszelkich o swych statkach pozbawione wieści, i w razie potrzeby pośpieszą z ratunkiem. Ministerjum marynarki również będzie w możności porozu-

miewać się z kapitanami rybackich okrętów a „Towarzystwo pomocy morskiej“, dzięki szybkiej i nieprzerwanej telegraficznej komunikacji, rozwinie i w tych strefach Lodowatego Oceanu na większą jeszcze skalę wspaniałą swą działalność.

Amerykańskie gazety donoszą światu o projektowanej budowie nowej linii kolei żelaznej przez całą Alaskę, cieśninę Berynga i Wschodnią Syberję, aż do punktu, gdzie się kończy Transsyberyjska kolej.

Gdy chodzi o najtrudniejsze przedsięwzięcia, zapewnijające lub obiecujące tylko wielkie w przyszłości zyski—Yankeesi pieniędzy nie żałują, do czynu przystępują z zapalem i z błyskawiczną szybkością projekty urzeczywistniają.

Twórcą śmiałego projektu jest Francuz uczo-ny Loicq-de-Lobel: prowadzi on od szeregu lat naukowe badania w Alasce i Klondyke. Barwne jego odczyty w Sorbonnie, w Towarzystwie Geograficznym i w Muzeum przyrodniczem — zwróciły uwagę francuzów na mało im dotąd znany półwysep Alaski.

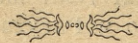
W roku 1898 spotkał Lobel u cieśniny Behringa sławnego pioniera Alaski, kapitana Healy, który w ścisłych żyje stosunkach z Indianami i Eskimosami basenu Jukon.

Lobel wtajemniczył kapitana w swe projekty, mające na celu kulturalny i ekonomiczny rozwój tego zakątka ziemi, obfitującego w mineralne skarby, w kopalnie złota, srebra, miedzi, węgla, — a leżącego prawie odłogiem dla braku komunikacji. Healy, Amerykanin z krwi, kości i ducha, zapalił się do idei Lobela i zaproponował mu materialne poparcie potężnej finansowej kompanii, której jest przedstawicielem, oraz współdział swych milionowych przyjaciół w Chicago. Zachęcony Lobel kreśli niezwłocznie plan kolejowy linii od Cierle-City do cieśniny Behringa, spędza ośmnaście miesięcy w polarnych stronach, w których z wyjątkiem krótkiego lata, dzień jest tylko przedłużeniem nocy, a raz rozpoczętej pracy przerywać niewolno, pomimo 60% niżej zera.

W szeregu niesłychanych trudności, na pierwszy plan wysuwa się, rzecz naturalna, cieśnina Behringa. Czy przejdzie po niej pociąg na żelaznych okrętach (ferry-boat), jak w San-Francisco, czy też przekopie się tunel? Lobel opracował obie drogi — i projekt jego ma być w najbliższym czasie rozpatrywany i zatwierdzony. Nowa kolej przetnie Alaskę, cieśninę Behringa, pustynne obszary wschodniej Syberyi i połączy się, za zgodą Rosyyi, z koleją Transsyberyjską.

Znikają zatem z powierzchni ziemi odległości! Drogą lądową, w wygodnym wagonie, w krótkim stosunkowo czasie, przejedzie podróżny z Paryża do New-Yorku, zwiedziwszy po drodze całą północną Azję i Amerykę!

Nowa ta linja odda doniosłe kulturalne i handlowe usługi, zarówno Stanom Zjednoczonym, jak i Wschodniej Syberyi, nb. jeżeli dojdzie do skutku; Wschodnia Syberya bowiem jest przedłużeniem Złotego Pasa (Gold-bell), przeryniającego Alaskę i cieśninę Behringa. Niezmierzono obszary bogatej w minerały, węgiel i szlachetne kruszce ziemi są dotąd, dla braku komunikacji, zupełnie niewyzyskane. Dzikiego mieszkańca syberyjskiej pustyni przerazi z początku huk lokomotywy, odgłos młotów i maszyn, lecz oswoi się prędko z urojonym wrogiem, gdy w nędznej swej lepiance ujrzy światło i dobrobyt.



Kronika działalności kobiecej.



Od stałej korespondentki naszej z Krakowa otrzymujemy następujące szczegóły o urzędowej tam przez ruchliwe i pełne obywatelskiej gorliwości stowarzyszenie: „Czytelnia dla ko-

biet" — wystawy gwiazdkowej przemysłu krajowego, która zgromadziła liczne okazy w kilku salach gmachu nowodworskiego: „Pomimo braków, spowodowanych pośpiechem i zaniedbaniem reklamy, zdołano w krótkim czasie zebrać mnóstwo wyrobów, świadczących o przemyślności, pracowitości i kształcącym się coraz bardziej dobrym smaku ludu naszego, rzemieślników i obywateli.

Górujące miejsce zajęły śliczne dywany, makiety, kilimy i kobierce z wzorzystej wełny i jedwabiu, tkane w Buczaczu, Andrychowie, Zakopanem, Nowym-Sączu (baronowej Lipowskiej), w Glinianach, Oknie, Tarnopolu i t. p. Piękne majoliki z Kołomyi i Obska, hafty ręczne ze sławnej szkoły Makowskiej i z Wiązowny (ks. Wanda Czartoryska), pierwsza krajowa fabryka haftów maszynowych p. Krygowskiej z Krakowa, liczne robótki ozdobne pań rozmaitych i uczennic krakowskiej szkoły rzemiosł, — wabiły oko, dostarczając zarazem ładnych i praktycznych podarków „na gwiazdkę.“ Nie brakło, ma się rozumieć, wypałań, malowideł i aplikacji na suknie, drzewie, szkłe i innych materiałach. Guziki płócienne i niciane (z okolic Krakowa), lalki, konserwy, likiery, konfitury, koronki, kafele, wyroby ceramiczne, pierniki i mydełka (hr. Zamoyskiej z Zakopanego), przepyszne srebra platerowane Jarry (z Krakowa), ozdobne wyroby z kutego żelaza Goreckiego, — wabiły kolejno oko i podniebienie.

Nie chcąc naśladować katalogów, wspomniemy już tylko pokrótce koszykarstwo z Rudnika i Zatora, zabawki Jaworowskie, farby Kurmańskiego; ucieszymy się włóściańskimi tkaninami z Białowży, obuwiem wytwornem i prostem, wyrobami stolarskimi, kuśnierstwem i sukniennymi ubiorami góralskimi, bo to wszystko trwałe, porządne i niedrogie. Szkoda, że obok wybornych płócien i innych tkanin Korczyńskich, nie było na wystawie doskonałego sukna z Kęt, ani kortów i flanelk żywieckich; że obok sucharków i biszkoptów Gurgula nie zjawily się sery, których mnóstwo, nieustępujących zagranicznym, wyrabiają w Galicyi, — słowem, brakowało całych działów krajowej wytwórczości. Ale i taka, jaka się napręde urządziła dała, wystawa Gwiazdkowa, przekonała nas, że nie będzie wcale trudnem zadaniem wystarczenie sobie, i że nie tylko konieczne potrzeby, ale nawet zbyt wysokie wymagania i zachcianki możemy zadowolić towarem krajowym.

Wdzięczną i właściwą dla kobiet naszych rolę jest krzewienie przemysłu domowego w rozmaitych kraju zakątkach i nadawanie mu o ile możności tych cech estetycznych, których szukamy obecnie we wszystkim; co nas otacza. Rzeczywiście, zatracone przez długi czas poczucie piękna w życiu codziennem, budzi się na nowo i ogarnia coraz szersze kręgi. Po wzory zwracamy się do wieków średnich, kiedy to każdy nieledwie sprzęt domowy: skrzynia, stół, puhan lub kociołek wykonywano misternie i kunsztownie, kreśląc harmonijne linie, rzeźbiąc i mozaikując przedmioty codziennego użytku; albo też wyszukujemy rodzime pierwiastki, rozsypane obficie po wiejskich chatach i zagrodach, a kryjące w sobie prawdziwe skarby świeżego, oryginalnego piękna. To drugie zadanie postawiło sobie za cel zawiazane w roku zeszłym (1900) Koło artystek polskich, mieszczące w statucie swym między innymi następujące paragrafy: c) Opieka nad polskim przemysłem ludowym i ubiorem ludu polskiego, oraz uszlachetnianie tego przemysłu i podnoszenie go do artystycznej wartości; d) Dążenie do nadawania wyrobom polskiego artystycznego przemysłu odrębnej cechy rodzimej, opartej nie tylko na motywach ludowych, ale na faunie, florze i przyrodzie kraju naszego.

W tym roku Koło artystek urządziło (w suterrenach pałacyku sztuki) małą, ale gustowną wystawę, zwaną „Willa zakopiańska,“ miesz-

czącą mnóstwo sprzętów i sprzęcików zdobionych sycerstwem i malowaniem wysnutem z motywów góralskich i w ogóle ludowych. Na ścianach, udrapowanych zasłonami i makietami wyszywanemi wzorzysto i barwnie a stylowo, zawieszono rysunki starych budowli drewnianych ze wsi i miasteczek naszych, wzory ludowych malowań i haftów, oraz ładne krajobrazy wiejskie.

Ile wdzięcznych kombinacji rozwinąć się daje na tych motywach rodzimego smaku, przekonać się można nie tylko tu, ale w Zakopanem, gdzie śliczny bazar Komendzińskiego zachwyca rozmaitością wyrobów krajowych, a jeden z najznakomitszych artystów naszych wznosi mieszkania dla ludzi i zdobi dom Bóży według wzorów ludowo-góralskich. Poznali się już na tem cudzoziemcy: do Anglii i Szwecyi sprowadzają od nas hafty i tkaniny ludowe, a słynna fabryka Sewrska wykonała serwis do kawy według rysunków Witkiewicza, kopiowanych z czerpaków, łyżek i puhanów góralskich.

I w muzyce przecież odzywają się coraz silniej motywy góralskie, nadające jedność i świeżość utworom mistrzów naszych. Opery Żeleńskiego i Paderewskiego niosą w świat daleki odgłosy z naszych gór i polonin, szumy lasów smerekowych, huk tatrzańskich wodospadów, — rozbrzmiewają za krajami, za morzami nutą rzewną, lub nawpół dziką naszych pieśni i tańców góralskich. Tak więc wplątamy coraz barwniejsze nici w szarą tkanę życia powszedniego, zdobimy kwiatami łąk i pól naszych ciemne tło kobierca, jak ów, także z ludu naszego wykwitły geniusz-wynalazca, który świat zadziwił misternymi pomysłami swymi. Nie tu miejsce mówić o coraz to nowych wynalazkach Szczepanika, chociaż i to się łączy z rozkwitem przemysłu i smaku u nas.“

M. Świd.

— Panna Julia Morgan z San-Francisco została przyjęta do Akademii sztuk pięknych w Paryżu na kursa architektury. Egzaminy wstępne zdała świetnie. Kursa architektury w Paryżu zostały przed czterema laty otwarte i dla kobiet. Dotychczas ucześćczyły tylko na malarstwo i rzeźbę. Na kursach architektury, kobiety w Europie są prawdziwą nowością.

— W stanie Massachusetts osiągnęły kobiety prawo wyboru w gminach, chodzi głównie o wybieranie kandydatów do zarządu szkolnego.

— W Głazgowie Stowarzyszenie pokoju obrało, jako zastępczynię przewodniczącej, miss C. H. Peckower, która na ręce przewodniczącej Stowarzyszenia księżnej (jak podaje gazeta angielska ks. Wiśniewskiej) złożyła przez siebie opracowany memoriał o wychowaniu dzieci. Autorka tej pracy pedagogicznej silny kładzie nacisk, aby w dzieci bardzo wczesnie wszczepiać zasady i miłość pokoju.

— Paryska Akademia Sztuki otworzyła wprawdzie kursy swoje dla kobiet, atoli statuty nie dozwalały dotąd, aby uczennice ubiegały się o nagrodę, tak zwaną *prix de Rome* (stypendyum na pobyt i studia w Rzymie). Obecnie statuty Akademii zmieniono w tym wypadku i uczennice mogą na równi z kolegami męzkimi ubiegać się o tę najwyższą nagrodę.

— W Paryżu liczba kobiet lekarzek dochodzi obecnie do 58-iu. Pismo specjalne dla kobiet, „La Fronde,“ wystosowało do owych kobiet, poświęcających się medycynie, pytanie i prośbę o szczerą na nie odpowiedź, czy powołanie lekarza odpowiedziało położonym w niem nadziejom, czy obrałyby je, gdyby po raz wtóry rozpoczynały nauki — i czy rzetelnie doradzać mogą młodym dziewczętom oddanie się studiom lekarskim? Odpowiedzi, otrzymane prawie od wszystkich 58-iu lekarzek, brzmiały twierdząco; wszystkie uważają

studya medyczne dla kobiety za właściwe, jeśli tylko odpowiadają im: uzdolnienie, szczerze umiłowanie zawodu i potrzebny zasób wiedzy.

— W Schronieniu sierot w Brukselli, miejsce naczelnego lekarza powierzono pani Delcourt. Zdobyła ona stopień doktora medycyny *summa cum laude*, a rozprawa jej konkursowa, przygotowana na zjazd lekarzy w Brukselli, wydana była nakładem Uniwersytetu. Prócz tego otrzymała złoty medal za prace chirurgiczne.

Z. S.



Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę uprzejmie o gościnę dla poniższych kilku słów sprostowania w łamach „Bluszcza.“

W nrze 2-im w pogadance „Przy kominku,“ p. Kazimierz Gliński robi mi zaszczyt „cieplą“ wzmianką o drukującym się obecnie w „Wędrowcu“ tryptyku wierszem p. t. „Pogrzeb.“

Proszę mi wybaczyć, że wbrew utartemu zwyczajowi przed nazwiskiem znanego autora „Almanzora“ postawiłem literę *p.*, ale grzeczność obowiązuje, a p. K. Gliński pisze właśnie na wstępie „cieplej“ wzmianki: „Zaciekał nas początek dramatu p. K. Laskowskiego... Nie czytaliśmy utworu p. K. Laskowskiego, więc nie o nim powiedzieć nie możemy...“

Jednakże pomimo powyższego przyrzeczenia, o wiersz poniżej mówi p. K. Gliński i nazywa „Pogrzeb“ *ostrą krytyką* „Wesela“ Wyspiańskiego, „*rzuceniem rękawic*“ Wyspiańskiemu i w ostateku dziwi się mej *śmiałości* i wyraża *trochę* niepokój, oczywiście — z domyslnikiem: czy mi się powiedzie?

Załużę bardzo, że szanowny autor „Baśki“ nie czytał „Pogrzebu.“ Stary to, ale dobry zwyczaj czytanie. Skoro jednak tak się stało, jak to sam autor „Tarantuli“ przyznaje, ja zaś, który „Wesele“ i parokrotnie czytałem i widziałem na scenie, pozwolę sobie rozwiać niepokój p. K. Glińskiego. „Pogrzeb“ ani *ostrą krytyką* „Wesela,“ ani *rzuceniem rękawic* twórcy „Kłatwy,“ jak się to po rycersku — nie czytając — p. K. Gliński wyraził, nie jest. Przeciwnie — aczkolwiek nie miałem nigdy do tego stopnia śmiałości, że nie ubiegalem się nawet o członkostwo na Parnasie... warszawskim, tu stwierdzam otwarcie, że dotychczas nikt ustnie głośnie, jawnie i szczerzej nie uznawał wyżyn talentu Wyspiańskiego ode mnie — „Pogrzeb“ zaś jest tylko piśmiennem stwierdzeniem tych mych przekonań.

O własnej pracy sądzić nie mogę, za pogłoski zaś, którym już na innym gruncie zaprzeczyłem, nie odpowiadam. Co zaś one warte, świeży dowód: równocześnie z felietonistą „Bluszcza,“ mianującym „Pogrzeb“ *ostrą krytyką*, korespondent krakowski „Kuryera Warszawskiego“ — po przeczytaniu — nazywa „Pogrzeb“ *apoteozą* Wyspiańskiego.

Jeszcze słowo — piję zawsze z malej, ale własnej czary, umiejętności strojenia się w cudze pióra nie posiadam, gdybym zaś ten talent posiadał, nie potrzebowałbym szukać daleko i wysoko — Wyspiańskiego, mając mistrzów... pod ręką!

Szczerze załużę, jeśli powyższe wyznanie zrobiło zawód p. K. Glińskiemu. Lecz cóż począć?.. Ja napisałem „Pogrzeb,“ ale „Wesele“ czytałem..

Z poważaniem i głębokim szacunkiem

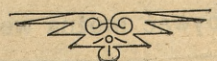
K. Laskowski.

Treść numeru:

Polki w współczesnej literaturze i sztuce; I, Marya Kopnicka, przez Leona R. — Przyszań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy). — Nad wodą jasną i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Kartki z podróży (sonety), przez Wincentego Kosiakiewicza. — Podróżniczki po Afryce, przez J. N. (dokończenie). — Przegląd muzyczny, przez St. Działulewicza. — Ciekawe wiadomości. — Kronika działalności kobiecej, przez M. Świd. i Z. S. — Polemika. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz czwarty powieści Ryszarda Henryka Savage p. t. «Nowoczesny korsarz.»

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 19). — Przepisy gospodarskie, oraz Tablica krojów.





PIERWSZA W KRAJU PAROWA FABRYKA

Wieńców, poślin i Kwiatów z metalu

WARSZAWA

Fabryka: Aleje Jerozolimskie 129.
Sklep: Senatorska 22.

ST.-PETERSBURG

Filja:
Wielka Morska 11.

A. MAKOWSKI

Najpiękniejsza dekoracja w mieszkaniach, wazonów,
żardynier, koszyczków i t. d. kwiatami porcelanowymi.

i E. RAUER

„Książka“ (Rok II)

wskazówek co do treści i wartości książek polskich. Prenumerata roczna rb. 2.— z przesyłką 2.50. Adres redakcyi i administracyi:

Księgarnia E. WENDE i S-ka Warszawa, prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie.

Świat Duchów

Czasopismo dla nauki spirytyzmu, okultyzmu i pokrewnych dziedzin.— Wychodzi w Krakowie od 1-go Stycznia 1902 r. w pierwszych dniach miesiąca.— Prenumerata wynosi w Krakowie rocznie 10 koron półrocznie 5 kor. w Rosyji i Królestwie Polskiem rb. 6, w Wielkim Księstwie Poznańskim marek 10.— Główna ekspedycja w Księgarni E. WENDE i S-ki w Warszawie.

Pracownia i Magazyn Wyrobów Srebrnych Złotych i Brylantowych
J. LIPOWSKIw Warszawie, przy ulicy *Trębackiej Nr. 9.*Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, kolczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stolowe i fantazyjne. Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące.— **Ceny fabryczne.** 10—3

CZESANIE DAM

Tak na miejscu, jako też na mieście przez specjalnie uzdolnionych fryzjerów. Salony higienicznie i elegancko urządzone poleca

ZAKŁAD FRYZJERSKI
ALEKSANDRA LIPINK

Wierzbowa, róg Niecałej.

3—2

KWIATY SZTUCZNE

Upięcia balowe, girlandy ślubne, motylki fantazyjne, poleca na karnawał pracownia Riedel KRÓLEWSKA 39. 2—2

Sa do nabycia we wszystkich księgarniach dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Języ-**

SAMOUCEK

ków obcych bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:**POLSKO-NIEMIECKI**, kurs wstępny (Elementarz) po kop. 5, 12, 24 i 40;—kurs I-y kop. 60, —kurs II-gi kop. 1.60.**RUSKO-NIEMIECKI**, po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.**POLSKO-FRANCUSKI**, kurs I-szy kop. 1.20, kurs II-gi kop. 3.20, **GRAMATYKA POLSKO-FRANCUSKA** kop. 1.20.**POLSKO-ANGIELSKI**, kurs 1-szy kop. 75, kurs II-gi kop. 1.20.**POLSKO-RUSKI**, kurs I-szy kop. 1.40, kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u autora, Warszawa, ulica Złota № 6. 6—1

Egzystuje od r. 1878. Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna Egzystuje od r. 1878.

p. f. ŁUKOMSKI

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany, chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Na prowincję wysyła się specjalistów na koszt firmy. Ceny niskie, lecz stałe.

Marjan Gawalewicz.

Wiktor Czajewski.

ZNAK ZAPYTANIA

Bardzo ozdobne wydanie.

Cena rb. 1 k. 50 w ozd. opr. rb. 2.

Katedra Sw. Jana w Warszawie

Z licznymi ilustracjami. Cena rb. 2.

Skład główny w Księgarni J. FISZERA.

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Druk. P. Laskauera i W. Babickiego, Ś-to Krzyzka 11. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Января 1902 г. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

SKŁAD
PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY
MARJI BOJDAKOWSKIEJ

Warszawa, Chmielna № 21.

Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfumeryj fabryk krajowych i zagranicznych.

Załatwiam pogrzeby od rbl. 25



do najwykwintniejszych.

Trumny metalowe od rb. 30 drewniane od rb. 22 i dębowe. Wieńce metalowe od kop. 75, Makkarta zasuszone od k. 60 Szarfy. Pochodnie.

100 kapeluszy z woalami od rbl. 4. Suknie od rbl. 15. Spódnice z krepą od rbl. 7 kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26, (wprost kościoła św. Antoniego). 12—1

DOMINA od rb. 3.

Maski
Rękawiczki
Wachlarze
Perfumy

PARYSKIE

MAGAZYN GALANTERYJNY

W. Golińskiej

TEATR. 26—1

LIST OTWARTY
do P. Plato Reussnera.

Rozpocząwszy naukę języka niemieckiego w szkole i po szkolnemu robiłem w nim bardzo słabe postępy, pomimo wszelkich wysiłków w pracy i już wątpiłem czy mi się kiedy uda przyswoić sobie tenże język jako tako,

Z porady mego przyjaciela nabyłem Pański Samouczek Polsko niemiecki, który mnie dopiero wybawił z kłopotu; bo z pomocą tegoż zrobiłem stosunkowo w bardzo krótkim czasie tak prędkie i wielkie postępy, że koledzy moi, którzy już umieli po niemiecku wtenczas, gdy ja dopiero zaczynałem poznawać alfabet niemiecki, pozostali dziś za mną daleko w tyle; zazdroszczą mi mojej umiejętności i uważają ten nagły postęp w nauce za jakieś czarodziejstwo. Tem czarodziejstwem jest właśnie Pański „Samouczek“ za który Panu serdecznie dziękuję i polecam go usilnie każdemu, kto pragnie prędko, bardzo łatwo i tanio, bez nauczyciela, zdobyć gruntowną znajomość języka niemieckiego.

Edward Zarębski.

Warszawa, dnia 20 Grudnia 1901 roku, ulica Prosta № 8. 2—2

WYDAWNICTWA

GEBETHNERA I WOLFFA
NARCYZA ŻMICHOWSKA
(GABRYELA)

Wybór Pism

Z PORTRETEM AUTORKI i przedmową IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO.
(Biblioteka miniaturowa),
Cena rb. 1, w ozdobnej francuskiej oprawie rb. 1 kop. 80.M Y Ś L I
NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

ZEBRAŁA ELLA.

I. Wzmianki autorki o samej sobie. II. O przyjaźni, miłości i o kobietach w ogóle. — III. O wychowaniu i rodzinie. IV. Książki czytane, dzieła sztuki i zapatrywania na różne stosunki i zjawiska życiowe. V. Uczucia religijne, moralne, społeczne i t. d.—Rb. 1.20 W ozdobnej oprawie Rb. 1.80. 2—2
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

„ALBUM SZTUKI POLSKIEJ”

Cena rb. 12 w bogatej oprawie z brzegami złożonemi, z przesyłką pocztową rb. 13 kop. 50.

Nabyć można w każdej księgarni; Zamawiający u Wydawców w kantorze drukarni P. Laskauera i W. Babickiego w Warszawie, ul. Ś-to Krzyzka Nr. 11, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.